

21
20
19
18
17
16
15
14
13
12
11
10
9
8
7
6
5
4
3
2
1
0

WENECYA

W PRZEBIEGU 1866. ROKU.

PRZEZ

HIERONIMA FELDMANOWSKIEGO.

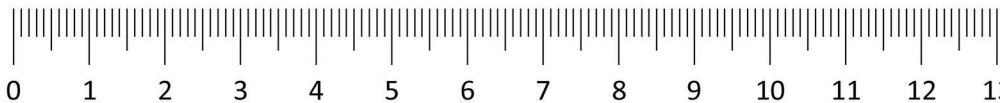


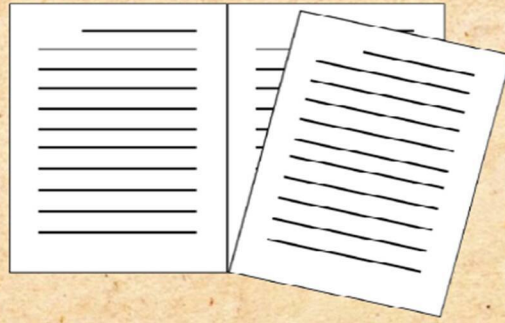
POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1866.

MAU. 1118
K





W woluminie kolejno współprawne sygnatury:

1793731 II

1793737 II

1793732 II

1793738 II

1793733 II

1793739 II

1793734 II

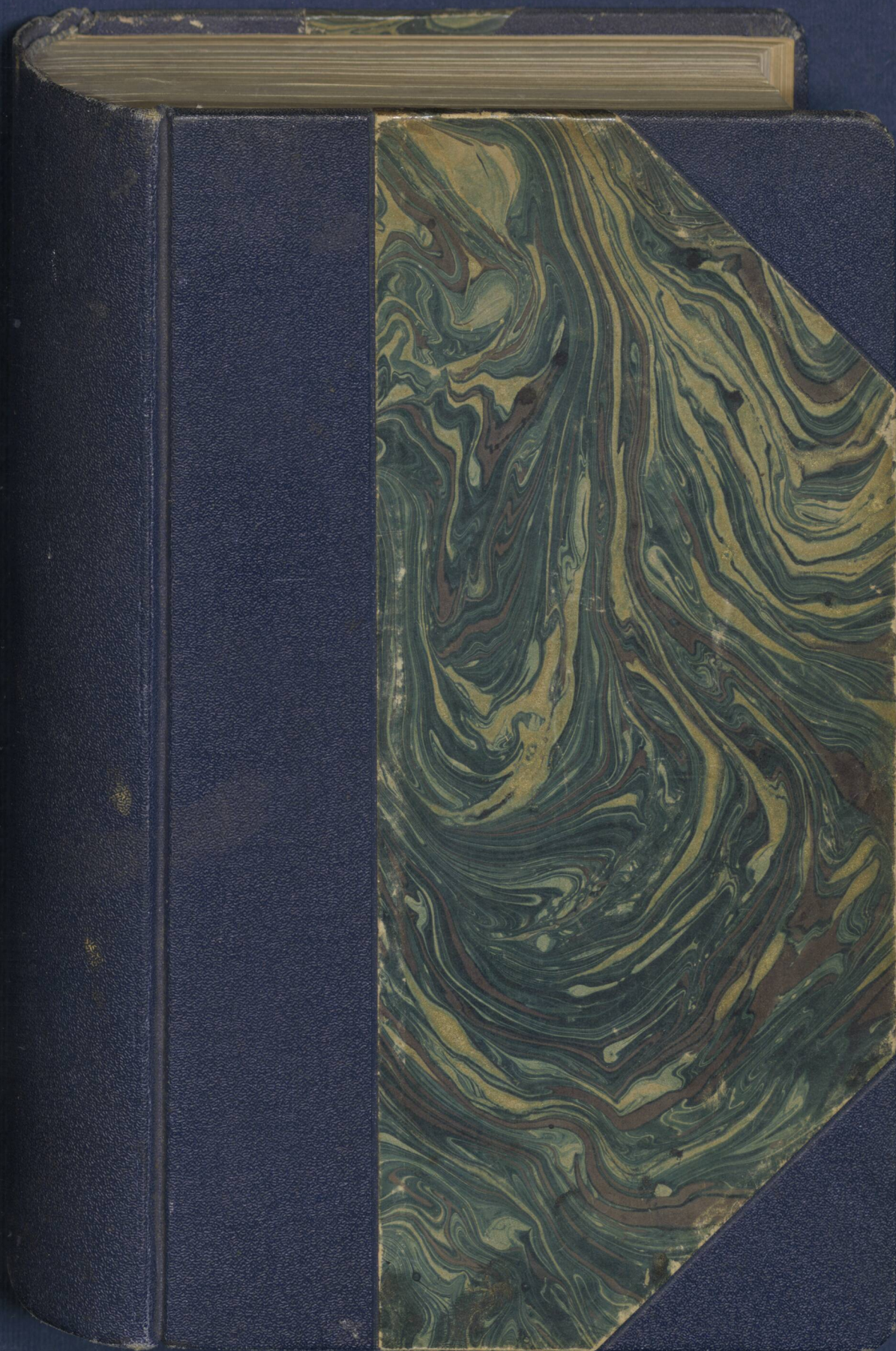
1793740 II

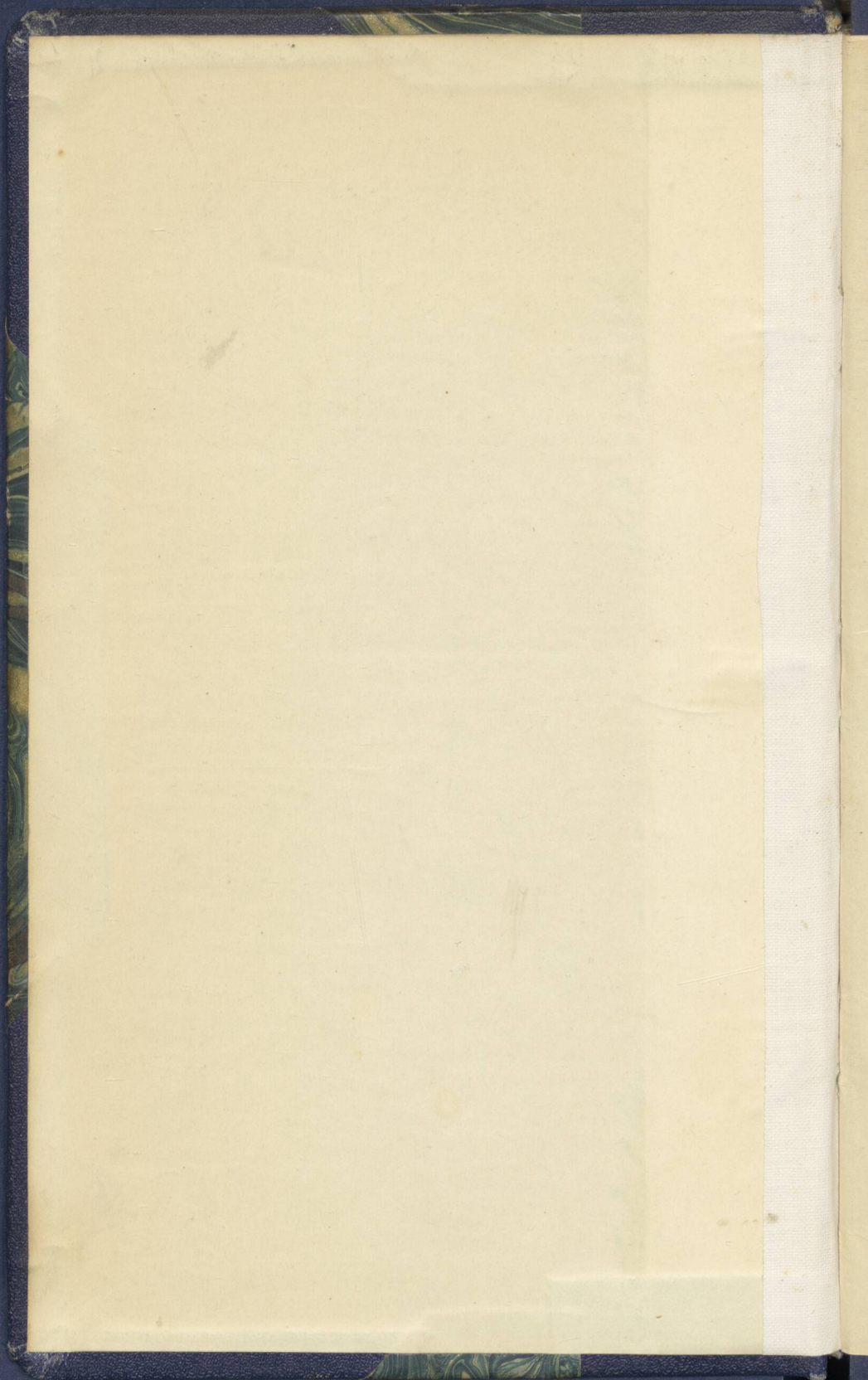
 **1793735 II**

1793741 II

1793742 II

1793736 II







0,50
100

WENFELYA

Ex
libris
Corporationis
„Lechia“.

WENECYA

W PRZEDEDNIU 1866. ROKU.

PRZEZ

HIERONIMA FELDMANOWSKIEGO.



POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1866.

Bibl. UM
K

WENEGYA

W. PRZEJEDZINI 1886. ROKU

M793M35.1



BIBLIOTEKA WYDZIAŁU FIZYKI

POZNAŃ

Poznań, czcionkami M. Żoerna.

Bibl. UAM
12 K 373

PRZEMOWA.

Smutnym wspomnieniom moim blada świeci zorza!
Widziałem pyszne miasto w proch upokorzone,
Wenecyą, narzeczoną i królową morza,
Jéj pałace, świątynie, groby spustoszone.
Wstąpiłem na Piacety marmurowe progi,
Tuż przedemną otworem stała wielka sala
Piękna jak sen rzeźbiony a smutny, złowrogi,
Oczy dziwnie zachwyca, lecz serce rozżala;
Wszedłem między olbrzymie kolumny z granitu,
Mary ściętych w tém miejscu widziałem zbrodniarzy,
Lew i patron patrzyli z owych kolumn szczytu
Spokojnie, San Tedoro nie odwrócił twarzy
Od krwawego igrzyska, od téj ludu fali
Lśniącej strojów barwami, co rodziła zbrodnie
Jako morze potwory wśród lasów z koralu.
Wenecyo! pogaszone twych godów pochodnie,
Pycha, zbytek, rozpusta z sił cię rozebrały,
Z pancerzy twoich dworzan znikł połysk zwodniczy,
Na wspaniałych pomnikach twój przedwiecznej chwały
Barbarzyniec dziś ostrzy oręż najezdniczy.
Oto rynek San Marko twoich dziejów karta
Największa, najświetniejsza, w marmurach rzezana,
Jak przeszłość twych mieszkańców z pięknych barw odarta

Szczerniała, żrącym pyłem wieków posypana.
Tam pyszny pałac dożów dziś pusty, ponury,
Przy nim mniejszy gmach czarny smutne rzuca cienie
Na wodę i na przeszłość. to więzienia mury
Pełne zgrozy, przekłete! Słyszałem jęczenie
Dreńczonych męczarniami dantejskiego piekła,
Widziałem całe roje strasznych larw, upiory
Krew pijące, co tutaj z ran ofiar wyciekła;
Groźnych sędziów przybranych w maskowe ubiory,
Siedzących w czarnej sali, a przed nimi księga
Praw okrutnych, niegodnych krzyża Zbawiciela,
Gdzie nie miłość lecz pomsta po ofiary sięga
I stopnie swego tronu trupami zaściela.
Przed nimi oskarżeni, na ich czole trwoga,
Nadzieję ocalenia w progu zostawili,
Usta nieme, śmierć w oku, dusza już u Boga,
Wiedzą, że przez te progi do grobu wstąpiłi.
Otóż i most nieszczęśny łez i złorzeczenia,
Gdzie się na śmierć wskazani ze światem żegnali
I lew, któremu szpiegi podłe oskarżenia
W paszczę dotąd otwartą tajemnie rzucali.
Wenecyo! twoje dzieje i krwawe i smutne,
Upadek i niewola, ruiny i groby
Wskroś mnie kołą wspomnieniem na losy okrutne
Mój ojczyzny płynące rzekami żałoby,
Lecz zarazem na niebie wskazują nadzieje,
Zkąd jutrzeńka swobody już ku tobie świta,
Że tam i naszych cierpień krzyż już promienieje,
A z korony cierniowej zbawienie wykwita.

I.
Ledwie stanąłem na pokładzie parowca Venezia w przystani terszteński, spuszczone go z łańcucha, para otchnęła życiem jego żelazne, sztucznie złożone muszkuły, załopotaly potężne pletwy kołowe, zapieniły się ciche wody, tramem się zwolna z portu wyslizga, ostrożnie zwraca dziobem ku włoskim wybrzeżom, a na szerokiej już drodze żywiej zaplaskał pletwami, zaszumiły bałwany, unoszą go lekko, chwieją łagodnie, płyniemy hyżo, przyjemnie, jak słowo za myślą jasną, pogodną; burze usnęły na chwilę w błękitnej Adryatyku fali.

Wielkie rozmiary pięknego obrazu Tryestu z całym porbrzeżem drobniejają; wszystkie barwy prócz białej w szarą się mieniają; las masztów w porcie się zniża; nadbrzeżnych domów gromady tonają; znikają i wyższe gmachy powoli, wreszcie i wieże i góry; już tylko niebios sklepienie morskie tonie nakrywa i zewsząd nas od ziemi rąbkim widokregu odcina. Błękit podemną ruchomy, błyszczący; błękit nad głową tak jasny; dokoła błękit przeczysty; jedyne w nim żywe istoty ptastwo śnieżnopióre, a piersiom coraz lżej i rzeźwiej, a my-



ślom swobodniej niż onym ptakom i szerszej niż morzu, bo dla nich nie ma na ziemi granic!

Im ciaśniejszy widokraż świata, w którym żyjemy, tém mniej swobodna myśl. Zewsząd ściskana, jedynie w głębinie własnej duszy lub ku niebu płynie, kiedy na wyniosłych gór szczytach lub otwartém morzu ptakiem, błyskawicą przelata ogromne swoich widzeń koła.

Marząc o miłej myśli swobodzie patrzyłem po niebie i morzu, wtém zbliżył się do mnie jeden z towarzyszków podróży, którego inni zwali kapitanem, lecz ani był w służbie, ani munduru nie nosił. Dziwne były rysy twarzy tego człowieka! życie w nich drgało niezwykle; z oczu dużych a czarnych błyskała dusza namiętna ale szlachetna, widać było że wiele ciężkich przeszła cierpienie, że cierpi jeszcze. Był to włos, weneccyanin, jeden z owych gorących patryotów, których szyderycy zowią Pitalianissimi. Poznaliśmy się byli w Tryeście. Ten rzekł do mnie: jeszcze nam chwilę płynąć, nim się Wenecya ukaże, opowiem ci tymczasem historiją jej powstania.

II.

Tam za błękitną zasłoną, zasłoną lekką jak eter, złotemi słońca promieniami przetykaną a wonną, jak kwiaty południa, jest kraj rozkoszny, jak rajske ogrody; wysokie góry stoją mu na straży. Z ich łona wytryskają źródła słodkiej wody, które łącząc się wzbierają i płyną a płyną, aż wresz-

cie rzekami wpadają do morza, odpierając daleko słone jego fale. Gdzie odpór ten ustaje, tam rzek i morza bałwany wspólnie sypią z piasków i mułu długie wały, niby groble lub kopce graniczne. Z czasem wzniosły się te pomniki walki odwiecznej wód rzecznych z morskimi tak wysoko, że tu i owdzie wysterczyły nad powierzchnią morza jako wysepki i ławy a ptastwo różne i wiatry rozniosły po tych nowych łądach nasiona roślin i otóż się zazieleniły owe naspy, które morze gniewliwe często zalewało i rozrywało, ponieważ ścieśniały obszar jego panowania. Po za temi naspami, aż po wybrzeża łądu, stały wody słodkie ze słoną zmieszane tak spokojnie, że gdyby nie oddech, którym ich łono codzień dwakroć lekko się wznosi i opada porówno z morzem, myślećby można, że martwe jak wody jezior zwyczajnych. Taki jest lagun i wysp weneckich początek.

Upodobali sobie ludzie te miejsca; już w bardzo dawnych czasach zaczęli tu rybacy stawiać chaty z drzewa i szałas, a panowie większej części znanego wówczas świata, rzymscy bogacze zakładali ogrody i stawiali pałace. Ni śladu dzisiaj tych pierwszych budowli, ale po dziś dzień istnieją wyspy wówczas już kwitnącemi okryte miasteczkami, jak n. p. Torcello, Burano, Malamocco, San Erasmo. Rozkoszne te osady zwali starożytni Morską Wenecją (*Venetia maritima*). Kiedy barbarzyńskie hordy najeźdnicze poczęły wypierać mieszkańców okolicznych państwa rzymskiego z odwiecznych siedzib na stałym łądzie, ci unosili wszystko co mogli i nowych sobie, spokojniejszych szukali siedlisk; wtedy i one wysepki weneckie

kiej laguny zapełniły się ludem, który z czasem pobudował wsie i miasteczka niezawisłe od siebie, rządzone przez trybunów. Niektóre zasłynęły szeroko jak: Heraclea, Torcello, Equilium i miasto portowe Malamocco. Było to w V. wieku po Chrystusie. W końcu siódmego jednemu wszystkie te osady w zarząd oddano, pierwszym ten władca był doża, a zwał się Paolo Lucio Anafesto. Wzrost jednakże istotny dzisiejszej Wenecyi począł się dopiero z wiekiem dziewiątym, kiedy dieśiąty z rządu doża Agnello Partecipazio zamieszkał istniejącą po dziś dzień dzielnicę wenecką Rialto.

Osuszano z wolna błota laguny, obwodzone brzegi wyspek murami, bito pale i zasypywano kamieniami i ziemią, aby je wzmocnić i rozszerzyć; stawiano na nich domy z kamienia, pałace i kościoły coraz wspanialsze i ozdobniejsze, między temi założono już w wieku IX. sławną po dni nasze bazylikę San Marco i dotąd podziwienie wzbudzający pałac dożów. Rozrzucone po lagunie wysepki zbliżyły się tym sposobem do siebie i w jedno wielkie połączyły miasto.

Lecz cóż zmienniejsze jak morze? W łonie swém chowa od wieków gromy zniszczenia przeciw wszelkim przez ludzi mu stawianym zaporom; od wieków bije w brzegi, pieniać się, że je ściskają. Ilekroć wiatry potężne rozwichrzą jego wiecznie ruchome łono, groźnie swe lica wydyma, odmętów paszcze otwiera, górami rwie się z poziomu, pianą tryska w obłoki, a wyjąc i hucząc ciska gromy swój burzy, bałwany, i rozrywa zapory olbrzymie, nieraz pochłania całe pobraża

i wyspy. Tak pochłonęło w pierwszych wiekach istnienia Wenecyi niejedno miasto nadbrzeżne, niejedną wyspę laguny.

Chroniono się z czasem od tych napadów podwyższaniem obrzeży wysp i opaskami z drzewa i głązów, mniejsząc i ścieśniając wodne pomiędzy niemi płaszczyny, ztąd powstał labirynt wodnych ulic i uliczek, czyli kanałów, których dzisiejsza Wenecya liczy 147. Ażeby zaś nie napełniły się piaskiem i mułem roślinnym z ładu prądami rzek nanoszonym, któryby gnijąc w tym spokoju powietrze szkodliwemi zaprawiał wyziewami, bito przez 400 lat pale ogromne wzdłuż wybrzeża ładu stałego i tak się ubezpieczono. Długie naspy wałowe czyli groble naturalne, chroniące miasto od zalewu morskiego, umacniano ciągle palami i podwyższano nawożoną ziemią; wreszcie obwarowano i przedłużono murem potężnym z ogromnych marmurowych głązów we wschody wzniesionym a sterczącym zawsze stóp kilka nad poziom zwyczajnego przyływu morza. Ostatni to pomnik Rzeczypospolitój, świadczący o jój przezorności i bogactwie.

Siódmy już wiek się kończy, jak Wenecya uroczyście z Adryatykiem zaślubiona pierścieniem przez papieża Alexandra III. ofiarowanym i poświęconym, przybrała nazwisko królowej morza. Rosła odtąd podbojami, wielmożniała gromadząc niezmierne sztuk i złota skarby; w najprzepyszniejsze stroiła się szaty zwożąc arcydzieła z podbitych krajów, najcudniejsze wydzierając marmury z łona Grecyi ku własnej ozdobie. Jój okręty po wszystkich przelatały morzach, miała wszystkiego zadość: potęgi, szczęścia i bogactw i sławy, ale ze zbytku wy-

rodziła się pycha i miękkość, za niemi wkradło się zepsucie rodzące zbrodnie i okrucieństwa; marnieli jój dworzanie, nikczemniało rycerstwo, hołdownicy jedynie orężem w karności trzymani shardzieli; pękać poczęły żelazne rządów senatu ogniwa; znękana tém wszystkiém Wenecya straciła dzielność; wieńce jój sławy powiędły; piękne, zaprawdę królewskie szaty poczerniały, z ozdób ją i świetnej barwy i czas i wrogi odzierać poczęli, wreszcie duch uszedł z ciała królowej, ciało kamienne zostało. I to już zwolna wietrzeje, w proch się rozkrusza cząstkami, a patrz, jak jeszcze piękna z daleka! i wskazał ręką na morze.

Cudne ujrzałem zjawisko! Powoli z wodnych lazurów wież różnokształtnych, kopuł białych i ciemnych, kul, krzyżów i iglic złotych mnóstwo przedemną wyblyska z pośród rozrzuconych dokoła wieńców i kłębów zielonych, potem i dachy różnobarwne nasadzone dziwnego kształtu wieżyczkami ciągle dymiącemi w obłoki i gmachów wielkich korony w przeróżne wzory wycięte, całe miasto z morskiej się fali wynurza i ku mnie zbliżać się zdaje; zaprawdę fata morgana! Otóż, domówił kapitan, Wenecya, umarła królowa morza, a nikt jój ciała pogrzebać nie śmie. *Evviva San Marco e santa Maria!* Jakby tym okrzykiem pobudzony zaśpiewał ktoś niedaleko odemnie śliczną piosnkę: *Maria, Stella di mare* a ledwie ostatnie jój słowa utonęły w cichój wodzie, ozwał się jeden z majtków pięknym barytonem:

Ah senza amare
Andare sul mare
Non puo consolare.

III.

Wpłynęliśmy na kanał San Marco, cisza nastąpiła wielka, tak wielka, że słyszałem jak oddalone oddycha morze i dźwięki głosów z ojczyzstego kraju w głębi duszy mojej drzące. Wszystko mi z oczu znikło, czułem tylko, że mnie ktoś wiedzie za rękę po twardej ziemi, ciągle stromo pod górę, drogą niby ślimaczą, ale w proste kąty łamaną, wygradzoną ścianami z ziębiących głazów; co kilkanaście kroków było zawsze w prawej ścianie okienko, przez które światło pojaśniało moją krętą drogę, w każdym błyskał mi w oczy kawałeczek lazurowego nieba oprawiony w marmurowe ramy. Nareszcie stanął mój przewodnik, światło jaśniało dokoła, świat był naokół otwarty; otaczający mnie z bliska czarodziejskim się być zdawał obrazem.

Niezliczona liczba do kielichów podobnych kominów, mnóstwo prześlicznych wież i wieżyczek, tu i owdzie złote anioły ulatujące z ich szczytów ku niebu; pyszne pałaców korony, których strzegą duchów jakichś posągi; kopuły wielkie i małe, czerwone, czarne, zielone, sine, na złotych krzyżach i gałkach u stropu niebios wiszące; gmachów różnego kształtu i barwy grupy ściśnione, lub rzędy błyszczącemi pasami wody w różne figury poprzedzielane, całe miasto półtory mili w obwodzie mające u stóp się moich rozległo; wspaniałe bardzo a takie ciche i puste! Gdzieniedzie tylko przemyka się zdobniała postać ludzka, lub po wodnej ulicy czarna łódka żałobna. Przeraża ta cisza bezludnego, martwego miasta! Tylko stada gołębi ulatują nad niem, jak duchy zakłęte nad miastem

umarłych. Śpią zapewne jeszcze jego mieszkańcy, bo słońce dopiero wschodzi i potrząsa złoto-purpurowym blaskiem otaczające je zewsząd zwierciadła wodne, mieniające się w srebro to szafir. Jaśnieją w całym przepychu kolorów dokoła porzrucane wyspy, niby pływające ogrody, ozdobione gromadami ładnych domów, pałaców i wspaniałych kościołów, a dalej w stronie północnej widać rozległe zielone równiny wsiami i miastami nasadzone i wzgórza malownicze i Alp ośnieżone szczyty płonące różowym ogniem zorzy porannej.

Wtém leci, widzę, z tamtych okolic potwór długi, czarny, kłębami białej jak śnieg pary puchając w obłoki, prosto ku mnie. Już, już nad brzegiem laguny, pewno utonie! bo tak szeroka ta woda; lecz oto pasek jakiś białawy na wodzie z tamtego brzegu aż do Wenecyi rzucony, po nim ów potwór zwawo się pomyka, łbem błyska świetnym jak złoto, zbliża się — znika urocze złudzenie, to szereg wozów parowych. — A ówże pasek cudowny? To sławny most lagunowy, łączący Wenecyą z pobrzeżem Lombardy.

Chcąc oczom połyskiem wodnych zwierciadeł i słońca blaskiem i żywą grą kolorów całego obrazu olśnionym bystrością pierwotną przywrócić, spuściłem je na chwilę, lecz nie znalazły spoczynku. Tuż podemną stała pustkami wielka sala bez pokrycia, przyozdobiona rzędami kolumn dokoła, tworzących krużganki i galerie ścian dolnych, znacznie w głąb usuniętych, a drzwi w tych ścianach liczne, wszystkie pozamykane, zapewne do mniejszych, pobocznych wiodą pokoi. W jednym tej sali narożniku ogromny zegar z całym zodiakiem w pysznie

rzeźbionej, jak wieża wysokiej oprawie, dołem niby brama na przestrzał otwartą. Na piętrze nad bramą powyżej tarczy zegaru złoty posąg Madonny, a po bokach drzewiczki tajemnicze; jeszcze jedno piętro wyżej wielki lew skrzydlaty, a na płaskim szczycie wieży otoczonym śliczną galeryą marmurową dzwon ogromny, przy którym stoją dwaj olbrzymiego wzrostu murzyny z młotami. Ha żywi! podnoszą młoty, uderzają w dzwonu powierzchnią, śpiżowy dźwięk rozległ się po całym mieście i jeszcze nie skończył w lagunie, oni już stali znowu nieruchomi.

Im dłużej się wpatrywałem, tym więcej występowało z pomroku tę salę dołem w okół osłaniającego pięknych ozdób architektonicznych, barw i kształtów podziwienie budzących. Jedna ze ścian podparta całymi pękami wysmukłych filarów, pięć ma niż wielkich w bogate rzeźby oprawnych; w półkolistych sklepieniach błyszczą na tle złotem wielkie obrazy mozaikowe nakryte cudną balustradą, w niżej środkowej brama, a nad nią wysoko cztery prześliczne konie, jakby dopiero z rydwanu Apollina wyprężone, bo jeszcze złotą otryskane pianą, a bóg słońca niewidzialny grzebieniem z promieni jeszcze i eterycznym lazurem nakrywa. Już się zrywają do biegu, nogi podniosły w powietrze i grzywy na wiatr puszczone, nozdrza i chrapy rozwarły, a przecież stoją przykute, skoczyć z tych wyżyn nie mogą. Nieco w głębi nad balustradą i poza końmi nad bramą, wznoszą się gzymsy wysokie w łuki gotyckie, na wzór brabantkich koronek w białym marmurze wycięte i wieżyczkami nasadzone, a cały ów gmach, któremu ta ściana czołem i licem, pięć kopuł olbrzymich krzyż tworzących na-

krywa. Ich szczyty zdobią błyszczące złotem iglice, krzyże i kule. Przed tym wspaniałym gmachem stoją rzędem trzy wyniosłe, czerwono pomalowane maszty, niby olbrzymie gro-mnice w pysznie rzeźbionych świecznikach brązowych osadzone.

Tuż do téj ściany przypiera z prawej strony gmach inny. Ściany jego olbrzymie z białego i czerwonego marmuru w szachownicę gładko złożone, spoczywają na wysmukłych filarach tworzących śliczną galeryą w maurytańskim stylu, a ta wraz z górną ścianą podparta rzędem kolumn grubszych, łukami w górze wiązanych, które stopami dotykają posadzki sali. One gmach cały dźwigają, na nich cały ścian ciężar złożony; niech się choć jedna z tych kolumn usunie, cała się strona zapewne w gruzy zawali. Oczu mych odjąć nie mogłem od téj śmia-łością zatrwajającej budowy.

Przerwał to moje zajmanie kapitan, mój nieodstępny to-warzysz, mówiąc: oto najpiękniejszy w świecie rynek San Marco! Tysiąc lat się składało na jego ozdoby. Te niższe gmachy z kolumnadami w stylu lombardzkim, zwane prokura-toryami były niegdyś pałacami prokuratorów Rzeczypospolitój, zbudowano je w wieku XV. Naprzeciw nich stojące prokura-torye nowe są pomnikami z wieku XVI. Ową wieżę z zegarem i bramą (Torre del orologio) zbudowali bracia Rinaldi z Reggio w końcu XV. wieku, a ów pyszny gmach z kopu-lami, to bazylika San Marco, wykończona już w wieku XII., sąsiedni wreszcie olbrzym, arcydzieło architektoniczne, jedyne w świecie w tym rodzaju, to sławny pałac dożów (il palazzo ducale) złożony z kilkowiecznych zabytków budowy, bo na

początku IX. wieku założony, wykończono dopiero w XV. A ten mały rynecek otwarty na kanał pełen okrętów i łodzi i na te wyspy i morze? To Piazzetta, przedsiónek téj wielkiej sali. Stojące na nim granitowe kolumny przywiezione przed siedmuset laty z Syrii pięknym są pomnikiem naszej staréj sławy. Ze szczytu jednéj patrzy San Todoro patron Wenecyi na odarte z bogactw i opustoszałe miasto swoje a na drugieój drzemie złoty niegdyś a dzisiaj spiżowy lew skrzydlaty, godło Rzeczypospolitéj; owe zaś maszty, z których powiewały przed wieki zwyciężkie bandery nasze, utkwiono tu na pamiątkę zdobycia wysp: Kandyi, Cypru i Morei.

Lecz gdzież jesteśmy? Na stojącej w rogu placu św. Marka dzwonnicy bazyliki zwanéj Campanile San Marco, arcyszczucznie zbudowanéj, przeszło 300 stóp wysokości, na którą po sam szczyt i konno wjechaćby można, bo jak widziałeś, dróżką ślimaczą, nie po wschodach się wchodzi. Tu przesiadywał sławny Galileo Galilei, ztąd patrząc po niebie śledził gwiazd obrotów; ztąd skoczył przed kilku latami jakiś anglik, aby się prędkój dostać do ziemi. I ten w pamięci ludzkieój żyć będzie długo, lecz jakże różna ich sława! jak chęci obu przeciwné! Tamten do niebios się wdzierał myślą i oczyma, a ten za życia duszą był w grobie, od nieba oczy odwracał.



IV.

Spojrzałem mimowoli ku niebu za duchem wielkiego Galileusza, wzrok przepadł w przestrzeniach bez granic; spuściłem oczy ku ziemi, maluczkim mi się wydał poziomy widok zewsząd zamknięty. Tak wielką być może różnica dwóch duchów ludzkich, pomyślałem, jak tych dwóch światów obszary; wtém mój przewodnik lekko mnie ujął za rękę i ujrzałem się nad brzegiem kanału, przy łódce gotowej do drogi. Na jej środku stał domek malutki o dwóch po bokach okienkach z drzwiczkami na pół szklannymi na przedzie, cały czarnym okryty całunem. Dwóch ludzi zgrabnej a rosliej postaci, ogorzałych ale pięknych rysów twarzy, w czapkach czerwonych, jak worki z głowy aż na plecy zwieszonych, z gołemi po łokcie rękami, w obcisłych, szarych spodniach i niebieskich kaftanach sukiennych, czerwonym szalem przepasani w mig mi z grzecznością uprzejmą drzwiczki otworzyli, lecz ja do tego żalobnego domku wejść nie chciałem. Oto gondola dzisiejsza, powiedział kapitan; dawniej ich było ze 30,000 po części złotem i purpurą świecących, wytwornemi rzezbami ozdobionych, wybitych wewnątrz jedwabiami, gdzie się na puchowych spoczywało wezglowiach, ale po śmierci królowej wszystkie przywdziały żalobę i liczba ich bardzo się do dzisiaj zmniejszyła, jest ich bowiem tylko set kilka. Jedynie wysmukłą postać i hyżość dawną zachowały i oto te błyszczące na przedzie topory, w górę wygięte jak szyje łabędzi, na pamiątkę Rzeczypospolitej. Są to powozy i karety nasze, kół im nie trzeba

ni koni, bo u nas ulice wodą zalane od wieków. Po innych miastach mieszkańcy latają z hukiem i trzaskiem, my cichutęko pływamy.

Wsiadliśmy tedy do łodzi; zajmąwszy miejsce przed domkiem na ławie skinąłem, łódka jak strzała pomknęła od brzegu, a brzeg ten marmurowy był krawędzią małego placu San Marco zwanego tutaj Piacetą. Zwróciliśmy się w prawo ku środkowi najszerszego i najdłuższego ze wszystkich tutejszych kanałów czyli ulic wodnych, znanego w świecie pod nazwą Canale grande a we weneckim narzeczu Canalazzo, który całe miasto przedziela w kształcie wielkiego S.

Na przeciwległym placowi brzegu widać narożnik wodą oblany a na nim gmach piękny trójkątny. Na jego szczycie dwie atletyczne figury dźwigają na barkach, głowy ku ziemi schyliwszy, wielką, złotą kulę ziemską i rękoma ją ku niebu wyciągnionemi podtrzymują. Na kuli skrzydlata bogini Fortuna jedną tylko stopą dotykając świecącej ziemi z wiatrem się obraca zmiennica. Czyliż obraz ten nie nasunął żadnej niepokojącej myśli Napoleonowi I. kiedy przebywając tutaj nań patrzył? A patrzeć musiał nieraz mimowoli, bo naprzeciw tego gmachu siadywał godzinami, w założonym przez siebie na przeciwległym wybrzeżu ogrodzie zwanym dotąd wśród ludu: *il giardino di Napoleone* a urzędownie: ogrodem cesarskim.

Obok owego narożnika przeznaczonych na komorę celną morską (*Dogana di mare*) wznosi się kościół olbrzymich roz-

miarów, z ogromną kopułą, caluteńki, aż po krzyż na kopule, z białego zbudowany marmuru. Wschody jego wspinały się o szesnastu stopniach dołem wciąż myje woda; fasada trójdzielna stu posągami i rzeźbą wytworną ozdobiona niezwykle sprawia wrażenie. Santa Maria della Salute, rzekł mój towarzysz wskazując, najokazalszy ze wszystkich naszych, stu przeszło kościołów, nie wyjmując bazyliki św. Marka, która tylko kosztownością materiału i bogactwem rzeźb, malowideł i mozaiek ten tutaj przewyższa, lecz jęj zewnętrzna postać wcale nie zachwyca oczu ani rozmiarem, ani harmonią architektonicznych kształtów, ani też zupełną przedstawia całość, bo tylko front widać zbliżka a zdala znów same jeno kopuły, tak pozasłaniana innemi budynkami. Otóż ten tutaj w pełnych widać rozmiarach i kształt naraz cały. Ogromny las dębów i modrzewi, przeszło milion pali wbity w grzązką ziemię wysepki, nim położono fundamenta tej świątyni a zwieziono całą górę marmurów na jęj zbudowanie. Wstąpmy na chwilę! Gondola nasza przybiła do wschodów, na których kilkaset ludzi wygodnie pomieścić się może. Wspaniałość i forma struktury wnętrza odpowiednie są postaci zewnętrznej. Na środku jest rotunda otoczona ósmiu kolosalnemi filarami, które w górze łukami powiązane tworzą wielkie arkady. Na nich spoczywa olbrzymia kopuła mająca 72 stopy średnicy a 50 wysokości; jęj krawędź obrabia misterna galerya, podniebienie zaś zdobią freski, którym słońce roziskrzone przez kryształowe szyby latarni w szczycie umieszczonęj a 30 stóp wysokięj, czarujące nadaje barwy i blaski

a pięknym postaciom malowanym łudzący pozór życia. Stojąc na środku téj rotundy rzuciłem w koło oczyma: z każdej arkady inna strukturą i przyborem błysnęła mi kaplica, najokazalsza przecież wielkiego ołtarza. Odwróciwszy się od niego w przeciwną stronę ujrzałem przez takąż arkadę śliczny obrazek złożony z kawałka wody jak zwierciadło gładkiej i błyszczącej, z kilku malowniczych gmachów w niej odbitych i szerokiego tła niebieskiego, cudnie oświecony jarem słońcem; brama bowiem wchodowa była na oścież otwarta. Całe wnętrze tego kościoła przepelnione ozdobami. Sklepienia kaplic i łuków okryte wybornymi freskami, wszędzie rzeźby, złocenia, posągi z różnego marmuru, a obrazów olejnych Giordana, Palmy, Tintoretta, mianowicie Tiziana cała galeria. Posadzki aż do najmniejszych zakątków marmurowemi pokryte kobiercami. Olśnionemu blaskiem i bogactwem téj świątyni powiedział półgłosem towarzysz: oto wotum Rzeczypospolitej weneckiej uchwalone przez senat r. 1630 na podziękowanie Maryi Pannie za ukrócenie straszego morowego powietrza a wykonane przez Baltazara Longhenę.

Płynęliśmy dalej środkiem kanału a wciąż nas takich jak nasz domków żałobnych mijały wstecz lub prześcigały stada. Spotykaliśmy niekiedy i wielkie łodzie pływające z miasta lub dworca kolei żelaznej różne towary w skrzyniach, beczkach i pakach, lub téż do miasta mąkę, drzewo, węgle, mięso, ryby i chleb. Inne przepelne owoców drzewnych, warzyw zielonych i kwiatów przesuwały się zwolna niby pływające ogród-

ki, urozmaicając żywy ten obraz życia nawodnego bardzo dla oczu przyjemny.

Kiedy po jakimś czasie przeredziła się ta pływająca ciżba, można się było bliżej przypatrzeć obu szeregom wzdłuż kanału na wodzie stojących gmachów. Najrozmaitszej architektury kościoły, pałace i domy ozdobione zewnątrz balkonami, rzeźbą i mozaiką ale poczerniałe i pleśnią od dołu pokryte, niektóre wcale niezamieszkane, z ozdób rzeźbiarskich odarte, trawą i chwastami porośłe, z oknami bez szyb, drzwiami otwartymi dzień cały, jakby ich mieszkańcy wymarli, smutne i przykre sprawiają wrażenie. Mała tylko liczba dosyć dobrze zachowanych ale oczu nie weselą. Wszystkie te gmachy nadbrzeżne odbite w zwierciadle zawsze gładkiem wody w dziwnie fantastyczne, za każdym poruszeniem wiosła w coraz inne a drżące mienią się obrazy, czasem w piękniejsze, częściej w potworne.

Miły mój towarzysz dostrzegłszy mego niewesela sam się serdecznie rozżalił i żal swój w te zronił słowa: Niegdyś tu wszystko było inaczej, kiedy Wenecya połowę prawie dawnego Rzymian dzierżyła państwa. Dzisiaj o jakże boleśnie patrzeć na ruiny tych pomników szczęśnej doli naszej i chwały naszej, na ucisk współziomków, ich upadek na duchu i mieniu, na te tysiące tułaczy i żebraków, którzy we własnej ojczyźnie rękę po jałmużnę wyciągają do cudzoziemców, do tych nawet, którzy ich ze wszystkiego wyzuli aż do uczciwej sławy.

Alboż wy lepsze pamiętacie czasy? przerwałem, chcąc przykrą dla wspomnień moich własnych improwizacją ku in-

nym skłonić przedmiotom, lecz niezręcznych widać użyłem wyrazów, bo mój towarzysz odpowiedział z żywością okazującą rozdrażnienie: O pamiętam lepsze i najlepsze, ja pamiętam wieki! Począwszy od pierwszych zwycięstw wenetów aż do ostatniego boju o niepodległość za doży Manina. Patrzyłem na upokorzenie rozlicznych ludów trzech części świata; byłem przy wzięciu Tryestu, przy zdobywaniu Carogrodu za Henryka Dandolo i na stu innych zwyciężkich wyprawach naszych zastępów orężnych; oglądałem Wenecyą na szczycie potęgi, liczyłem jój skarby złota i sztuki; patrz! po tych gmachach wyryte wszystko w marmurze, pomalowane, zapisane; duchem wreszcie, marą, upiorem zalega dotąd całą dożów stolicę nasza dziesięciowiekowa przeszłość, a tu, w mój piersi wszystkie klęski i niedole zapisane bliznami! Cierpię okrutnie a umrzeć mi nie wolno, pełnić muszę przeznaczenie: przypominać współziomkom moim dopóty dzieje ich ojczyzny słowem żywym, dopóki nie będą wolni. I ja wtedy będę wolny, umrę!

Smutne zaprawdę, ale piękne i pełne chwały przeznaczenie wasze! Nie umiera nigdy, komu się dostało w podzielu, rzekłem szczerze wzruszony, a oczy jego rozjaśniły się tą maluczka pociechą z serca płynącą. Rzeźwiój nam było obudwom.

V.

Z pomiędzy wielu przesuwających się przed moimi oczyma i na pobrzeżach i po wodnem zwierciadle pałaców zwrócił

szczególłą uwagę moją pałacyk z misternie rzeźbionemi balkonami w stylu na pół gotyckim, na pół maurytańskim. Miał niegdyś być mieszkaniem nieszczęśliwej Desdemony, którą Szekspir uwiecznił a może sam stworzył. Przynajmniej Otello nie był murzynem. Był pomiędzy rokiem 1462 a 1470 dożą weneckim Cristoforo Moro wielki miłośnik sztuk pięknych a inny, Otello Moro, wodzem w służbie Rzeczypospolitej także w owym czasie, lecz obadwa byli weneccyanami. Być może iż Szekspir wziął nazwisko to (moro — murzyn) w prawdziwym znaczeniu wyrazu a może też umyślnie ubrał bohatera swego dramatu w ciało murzyna, aby jego namiętna, iście afrykańska dusza naturalną się wydała w dramacie. Inaczej nie mógłby szekspirowski Otello okazać się tak gwałtownym w zazdrości ani tak dzikim w zemście, bez uchybienia psychologicznej prawdzie. Nagrobek wodza weneckiego Otella Moro znajduje się w dziedzińcu pałacu dożów, wysoko na murze kościoła św. Marka tuż przy wielkich wschodach (Scala dei giganti). Jest to mała płyta marmurowa z płaskorzeźbą i zatartym napisem, który dopiero w nowszym czasie z jakiegoś tynku i odwiecznego pyłu oczyszczono i odczytano. I dla sławnego Szajloka wynaleziono dom w Wenecyi ale dopiero wtenczas, kiedy dramat Szekspira: Kupiec wenecki poznano w całej niemal Europie. Odkrył go zapewne jaki dowcipny przewodnik cudzoziemców a dzisiaj zna go już każdy, kto Wenecyą zwiedzał, nie powątpiewając, że ten jest, jeżeli wierzy w istnienie niegdyś takiego Szajloka jakiego Szekspir w genialnej myśli swojej utworzył.

O wspaniały pałac po prawej stronie kanału uderzający wielkością i dobrym stanem nie potrzebowałem pytać, wskazał mi napis, że jest siedliskiem austriackiego wielkorządcy a dziełem Sansovina, arcymistrza w pięknym budownictwie, znanem pod imieniem: Corner della ca'grande. Tuż przed nami ukazał się most żelazny wiszący nad kanałem. Nowy i piękny, ale zasłania widok w głąb téj jedynéj w świecie ulicy i pozbawia ją w tém miejscu całego uroku a nie harmonizując z otaczającemi go pomnikami starożytnemi ani kształtem ani barwą szpeci całą okolicę. Dziwnem zrządzeniem obadwa końce tego austriackiego dzieła oparto na cmentarzach. Ta drobna okoliczność tysiąc nasuwa szczególnych myśli.

Pałac po lewej stronie za tym mostem, mówił mój towarzysz, ów z trzema balkonami, w najczystszy wzniesiony stylu gotyckim, zowie się Foscare; był niegdyś gospodą dla znakomitych gości Rzeczypospolitéj, książąt i królów. A w tamtym po prawym brzegu (Palazzo Mocenigo) mieszkał Lord Byron, który wprawdzie nie niszczył pamiątek naszych narodowych, jak jego współziomkowie, którzy ztąd mnóstwo wywieźli obrazów, rzeźb i posągów, nawet całe pałace rozbierać poczęli z marmurowych strojów i wywozić do swego brzydkiego kraju mgły i dymu, waty i beefstików, ale zostawił tu pamięć niejednej gorszącéj sceny, ba! całych dramatów, w których główne role miały weneçyanki znamienitego i ubogiego rodu, bohaterem był zawsze on bogaty, genialny lord, a czynnikiem głównym, duszą tych dramatów była cyniczna miłość. Bawił się długo korsarstwem na płoche, jak ptastwo morskie, syreny,

dręczył niewolą i puszczał znowu na fale, niepomny że pomsta nie śpi lecz drzymie. Ujrzał raz piękną rybaczkę z Kjodzii, co złotem jego wzgardziła, więc złożył serce w ofierze i stałość wieczną ślubował. Uwierzyła biedna rybaczka w szczerłość ofiary i trwałość wieczną przysięgi, porzuciła dom własny i męża, niedługo przecież była nieszczęsnem szczęściem szczęśliwa. Złamał przysięgę podbójca jój duszy i serca, który wzięwszy to oboje, wziął wszystkie uczucia, wszystkie jój chęci i myśli, a samój na życie tylko rozpacz i zemstę zostawił. Namiętna kjodzjanka zemstę wybrała. Wpadła pewnego dnia z krzykiem oburzenia do pokoju Byrona, a gdy ten chciał się schronić przed nią do pobocznego pokoju, cisnęła za nim sztyletem, ramię mu tylko skaleczył i we drzwiach utkwiał jak strzała. Widząc się odtąd życia niepewnym, przywołał zbirów na obronę, ci biedną, na duszy i sercu złamaną, żywcem do grobu, bo do więzienia wtrącili. O dalszych jój losach nic nie wiem. Brzydki to ustęp ze życia Byrona! Ludzie przebaczą w wiele, za wiele geniuszom, piękności i młodzieży lekkomyślnój, a my i cudzoziemcom.

Niemal tu już cudzoziemcy narobili szkody, zwłaszcza ci, co przybywają do Wenecyi dla używania życia zabaw i rozkoszy, albo jako cywilizatorowie bez żadnego szlachetnego uczucia, bez uszanowania dla pamiątek narodowych, wszędzie i zawsze jeżeli nie uszanowania, to przynajmniej poszany godnych, bo to nagrobki zmarłych ojców narodu, a dla żyjącego pokolenia księga żywa, najdroższa spuścizna, czasem pismo święte.

Wenecya zawsze przepełniona cudzoziemcami, a oddawna i wojskiem, zamieniła się w hotel wszystkich narodów ziemi i koszary. Mieszkańcy prawowici znękani uciskiem i nędzą, wodzeni na tysiączne pokusy przez bogatych a zepsutych cudzoziemców, w ogóle chciwi na pieniądze, podupadli bardzo moralnie; tym sposobem przyczyniają się sami do własnej niedoli. Lecz jeszcze nie znikczemnieli, jeszcze nie zginęli! Są pośród nich dusze szlachetne, żywiące szczerą miłość do ojczyznych progów i pamiątek przeszłości; jest poczucie prawdy i piękna; są jeszcze serca gorące, pełne poświęcenia i wiary, którą urosli; jeszcze wszyscy chowają we czci swój język, jako najmilszą po ojcach spuściznę, więc jeszcze żyją wenecyanie i patrzą z utęśnieniem wschodu lepszej przyszłości, a skoro ta zaświta, wstaną z pewnością do lepszego życia, bo je cierpienia przetarły ze śmieci. Otrząśniemy się z kału naniesionego przez.....

W tym pałacyku, wskazał, uciąwszy nagle odę do przyszłości rozpoczętą, znajdowała się galerja Barberigów. Mieszkał w nim niegdyś książę malarzy weneckich Tiziano Vecellio, który malując przez lat przeszło 70, niezliczone pozostawił freski i obrazy olejne, gdy umarł mając lat 99. Cały świat ucywilizowany obdzielił się jego dziełami.

Przybyliśmy wśród zmieniających się ciągle widoków po-brzeżnych do słynnego Ponte Rialto. Zadziwiał swoim ogromnym, ciężkim łukiem, tak śmiało z brzegu na brzeg przez szeroki kanał rzuconym. Wspaniały sobie wystawił pomnik jego budowniczy Antonio da Ponte i trwały, bo trzy już wieki



ludzie po nim dzień i noc chodzą tysiącami, a najmniej nie uszkodzony, tylko że biały niegdyś marmur poczerniał i zieloną porośł pleśnią.

Część miasta tuż za mostem po prawej zowie się Rialto (Riva alta) i jest najstarszą osadą wenetów, jakoż dotąd tu stoi kilkanaście budynków sięgających swoim początkiem VIII wieku. Po lewej stronie widać również stare gmachy czarne, ponure, odarte, otaczające, jak rzeźbione ramy, śliczny, żywy rynek pełen warzyw, zieleni, kwiatów i owoców a nieco dalej inny jeszcze żywszy, pełen ryb i ludzi. Te dwa rynki wraz z mostem Rialto są ogniskiem życia i ruchu dla téj dzielnicy miasta, a życia bardzo głośnego wrzawą i krzykiem, tylko ruchu nie odurzającego ani łoskotem kół, ani tętętem koni, ani hukiem powozów. Piękny prostotą most Rialto szpecą niby poręcze sterczące budki drewniane, pełne cacek ze złota, srebra, mozaiek, szkła i różnych drobnostek galanterniczych. Często się ledwie przecisnąć mógłem, taki tu bywał natłok, gdy uliczni kramarze porozstawiali swoje stoliki pełne rupieci, kosze z owocami, dzbany z wodą, winem i oliwą, figurki, obrazki i tysiąc różnych na sprzedaż naznosili rzeczy, a wywoływanie sprzedających, głośne targi, kłótnie, śmiech, okrzyki i wrzaskliwe żarty dowcipnych uliczników starych i młodych, których we Wenecyi wszędzie mnóstwo, w zupełne mnie wprawiały odurzenie. Tutaj przypatrzeć się można pięknym postaciom czarnookich i czarnowłosych wenecyanek w ogóle niedbałych o czystość. Biedniejsza klasa płci obojój, zwłaszcza dzieci, zwykle półnaga. Ude-

rzajacęj są piękności mieszkańcy pobliskiego miasteczka Chioggia (Kjodźja) szczególnieź rybacy i rybaczki. Widziałem tu niejednę Madonnę, niejednę Barbarę i Maddalę, niejednego Jana Chrzciciela a pomiędzy dziećmi niejednego aniołka, jakich po kościołach i galeryach weneckich namalowali mnóstwo Paweł Werończyk, Tiziano, Giorgione, Palma i inni mistrze, którzy snąc żywcem przynosili na płótno wybrane z pośród ludu najpiękniejsze postacie, bo takich wzorów podziśdzień pełno tutaj. Wielkiego świata bardzo mało widać w miejscach publicznych i po ulicach. Zdziwienie tém spostrzeżeniem obudzone uspił niebawem mój towarzysz temi słowy: Szlachta wenecka od dawna unika zabaw publicznych, teatrów i rozrywek, nawet miasta. Wiele rodzin bogatszej signorii zamieszkało na wsi lub w samotnych poza obrębem miasta willach. Najczęściej jeszcze obaczysz naszą signorją w kościołach i ogrodach ale nie po ubiorze ją poznasz, lecz po przygasłym dawnęj dumy blasku, po smutku blask oczu ćmiącym, po szlachetniejszej postaci i niezwykłej powadze w każdym poruszeniu.

Niegdyś się lampa szczęścia w jęj oczach paliła,

Lecz zgasała i swym dymem całą twarz oćmiła...

pomyślałem, a wnikając głębięj w ten obraz życia bogatszej, historycznej części narodu weneckiego, przerwałem głośno: i u nas życie takie samo. Nie ma bowiem szczęścia w duszy ni wesela w sercu, jeżeli go nie ma w ojczyźnie. Kapitan mówił dalej z żywym uczuciem: Nie sama przecież prawdziwie szlachetna signorja nasza przechowuje chwalebna dumę

osobistą a zarazem godność narodową, nie! Jest u nas wielu prostych mieszczan, rybaków, gondolierów i fakinów pełnych miłości i poświęcenia dla ojczyzny; są dusze szlachetne wśród tego ubogiego ludu nie mające ani pięknego pozoru ani wykształcenia a przecież godne czci i lepszej doli. Wszakże znasz historią naszą z niedawnego czasu, historią walki śmiertelnej o wolność pod dowództwem znamienitego potomka ostatniego doży Manina, niestety niepomysłnym słynną wypadkiem ale dającą mimo to piękne świadectwo ogółowi mego narodu. Jeżeli jej nie znasz, czytaj, ale nie przez fałszywych przyjaciół naszych napisaną, nie przez nienawistnych, którzy wszystko co najszlachetniejsze, najpiękniejsze obrzucają kałem oszczerstwa; którzy nie szanują nigdy ani męztwa, ani poświęcenia, ani najświętszej miłości w nieprzyjaciółach; którzy w imię cywilizacji depcą wszelkie prawa boskie i ludzkie, złorzeczą nawet najwznioślejszym zasadom dla uszczęśliwienia rodu ludzkiego z nauki Chrystusowej czerpanym, jeżeli te nie przystają do ich zaborszych myśli i samolubnych celów.

Spostrzegłszy iż zbyt żywe i głośnie słowa zaczynają zwracać uwagę osób otaczających nas, zwrócił się mój kochany kapitan ku mostowi i wskazując na rojące się po nim tłumy rzekł nieco ciszej: Większej części tych don, madon i belladon, kawalerów i signorów częstokroć nieuczestnych i nieumytnych, odartych i bosych nie poznasz wieczorem na wielkiej sali San Marco przy świetle rzesistem gazu i księżycu. Tam codziennie bal maskowy, zgiełkliwy a przecież nie wesoły. Mimo świetne stroje i błyszczące zewsząd cacka, mimo ro-

jące się bezustannie tłumy pod kolumnadami, pomimo śmiech głośny, jasne zwykle czoła i oczy, pomimo piosenki i żebracze orkiestrony wygrywające śliczne melodye i wojskową muzykę austryacką taki jakiś smutny, tak ziębiące i posepne owiewają go tumany, jak owe zaczarowane dziedzińce pałaców z arabskich powieści.

Nasyciwszy się widokiem mostu i bezustannie się zmieniających postaci ludzkich przeszliśmy rynek warzywny przepelnen sprzedających i kupujących najrozmaitsze płody świata roślinnego, od najpospolitszej sałaty aż do najwyborniejszych owoców południowych i stubarwnych kwiatów. Ogromna tu widać konsumcya tych płodów mianowicie wśród uboższych mieszkańców.

Rybny rynek jeszcze więcej dla oczu zajmujący ale nieznośne wyziewający wonie dłużej nas nęcił, nastroczając sposobność poznania z bliska najrozmaitszych mieszkańców morza. Wielkie ryby porąbane w kawały wiszą na hakach i leżą na stołach jak mięso bydła w jatkach rzeźniczych; mniejsze pluskają się we wannach i beczkach, ogromne węgorze w lagunie poławiane wiją się jak węże w morskiej trawie wilgotnej, roją się potworne do pajaków i skorpionów podobne poczęści nagie raki i raczki; na ziemi leżą stósami lub w skrzynkach łożą oślinione małże, ślimaki i omeszałe muszle; indziej pływają leniwo obrzydliwe polipy i różne inne żyjątka ogólnie morskimi owocami zwane (*frutti di mare*), które tylko biedni kupują a wielu zaraz w miejscu żywcem polyka, skropiwszy sokiem cytryny lub posypawszy pokrajaną

cebulą albo jakim innym szczypiącym ziele. Niektórzy z takim te ucztę odprawiali humorem, że sądziłem zrazu, iż im te brzydkie stworzenia wybornie smakują. Odjął mi to mniemanie kapitan, mówiąc: widzisz z jakim wstrętem patrzą kobiety i dzieci na te frutti, które z biedy jadać muszą codzień? Patrz, z jaką poządlivością pogląda biedactwo na duże ryby, zwłaszcza matki zmuszone karmić dzieci tak obrzydliwą strawą. Głodna nędza musi chcąc niechcąc mieć smak inny niż go ma w rzeczy samej. Ależ niektórzy tak wesoło zajadają, wtrąciłem. Ha! u biedaków zawsze najlepszy humor, rzekł mój towarzysz. Są wprawdzie i tacy, którym te małże płużą chłodem i ślizem, n. p. pijakom, są też i lubownicy ostrzyg i innych ślimaków lub muszli, lecz tym, którzy codzień takim pokarmem sycić się zmuszeni, wstrętny jest, bo prędko brzydnie i wcale niezdrowy.

Chcesz widzieć czém się jeszcze ubodzy nasi żywią, chodźmy dalej. Oto cała wystawa! Ujrzałem tam pieczone dynie, rzepę, pieczone kasztany i jabłka, makarony w oliwie, sławną polentę, ciasto żółte, klóskowate, gotowane z mąki kukurudzowej, groch biały i czerwony, różne jarzyny, cebulę, czosnek, szczypiące zioła, wreszcie chléb i séry. Lecz to już wszystko o wiele droższe od owoców morskich. Zjadłem po kąsku téj i owéj potrawy, najlepiej jednak przypadła mi do smaku polenta przyprawiona solą, wyborną oliwą i sérem.

Wróciwszy do naszej gondoli popłynęliśmy od mostu Rialto dalej. Patrzyłem tylko w milczeniu a nieznużony mój towarzysz wskazywał, co było godniejsze uwagi i objaśnienia da-

wał. Ów pałacyk, mówił, z obliczem tak ozdobnem, w którym widać gotyckie i arabskie rysy, śliczny Ca'd'oro pamięta kilka pokoleń dziedziców a dzisiaj, o czasy! został własnością tancerki Taglioni wraz z trzema innymi, któreśmy już minęli. Ów zaś opustoszały pomnik z dziewiątego wieku był niegdyś mieszkaniem książąt Ferrary i Torquata Tasso. Dolna jego kolumnada dźwiga otwarty krużganek utworzony z misternych słupków arkadami powiązanych. Wysmukłe filary i łuki wysokie a ściśnione okazują styl arabski.

Niedaleko ztamtąd ujrzałem pałac wielki o trzech piętrach zewsząd otoczony wodą, nadzwyczaj starannie utrzymany, z balkonem ozdobnym, tak długim jak front, o licznych oknach zwierciadlanych orzeźbionych zewnątrz bogato. Wyczytałem na nim napis wielkimi złożonemi głoskami: Non nobis Domine, non nobis..... Kapitan uprzedzając moje pytanie opowiadał: widzisz arcydzieło Piotra Lombardo, zdołujące ten kanał od prawie czterystu lat. Śliczna jest i bogata architektonika tego pałacu, jedyny on w świecie tak piękny w stylu zwanym architettura Lombardesca. Bogata w nim mieszka właścicielka, dla tego tak dobrze wygląda. Zwiedzimy go wewnątrz. Zwróciła się gondola na skinienie nasze i stanęła na wschodach pałacu księżnej Berry zwanego Vendramin Calergi.

Zadzwoiłem, otworzyło się potężne skrzydło podwoi; kiedy znów zapadło za nami, rozległ się łoskot grzmiący, przeciągły, jaki tylko w obszernych gmachach z kamienia słyszeć można, a zbudzone nim milczenie usnęło dopiero po chwili. Poważny

burgrabia wskazał nam z zapraszającym ukłonem wschody na piętro. Stałem przecież w miejscu, dziwne bowiem ta sień na mnie zrobiła wrażenie. Obszerna, wysoka, świecąca polerowanym marmurem aż do posadzki, wspaniałe wschody i filary, drzwi wszędzie zamknięte czarne, bogato rzeźbione, w brązy okute, skrzyżowane nad nimi starożytne halebardy, wiszące po filarach i ścianach szczątki pancerzy stalowych i puklerze rycerskie, zresztą pusta, milcząca i chłodna jak grób, przypomniała mi przedziwne pałace zakłete, opisane tak żywo przez mądrą Szeherazadę. Proszę, chódźcie panowie, powtórzyl burgrabia i poszliśmy na górę. Otworzył podwoje, ujrzelśmy się w małej sali przybranėj w makaty i sprzęty starożytne.

Szliśmy z pokoju do pokoju przez otwarte wszędzie drzwi ozdobione to mozajką z drzewa, to rzeźbione, to brązami okute. Każdy w innego wieku strój przybrany od obić aż do mebli, to w starowenecki, to we francuzki, to włoski. Nagromadzono tu mnóstwo rzeczy zajmujących starożytnością, wytworem, osobliwością, wspomnieniami historyi sztuki i historyi życia ludzkiego, jednym słowem jest tutaj całe muzeum sprzętów i sprzęcików, malowideł i mozajek, cacek z alabastru, brązu, srebra, złota i różnych kamieni, są pyszne zwierciadła weneckie, kosztowne zegary, pająki kryształowe, świeczniki, gobeliny, kobierce i t. p. Pokój sypialny właścicielki z pięknym złotym relikwiarzem w kształcie ołtarzyka pełen różnych ozdób kościelnych jak n. p. krzyże, obrazki świętych, wianki, szkaplerze z drogiego kruszcza, pa-

ciórki, gromnice, wygląda na kapliczkę pełną wotów. W innym pokoju znajduje się zbiór rycin i portretów familijnych, dalej galerya obrazów obfita w mistrzów francuzkich dawniejszych i nowszych, między którymi widać i włoskie dzieła. Obejrzawszy wreszcie błyszczącą od marmurów i złożonych rzeźb kaplicę domową, gdzie tkwią w ścianach kule armatnie na pamiątkę bombardowania Wenecyi przez austryaków, pośpieszyliśmy do czekającej nas przed pałacem gondoli.

Znużony przeglądaniem tylu rzeczy bez wytchnienia, mało już zważałem na zabudowania, między któremiśmy jeszcze płynęli do końca kanału. Mniej piękne a bardziej zniszczone widać tutaj domy; przed niemi uwija się dużo ludzi na szerokich to wązkich wybrzeżach ziemne ulice tworzących; kobiety piorą i rozwieszają rozmaite szmaty, gonią się i bawią półnagie dzieci a w głębi świat otwarty na lagunę, malownicze wyspy i zielone wybrzeża Lombardyi. Orzeźwił mnie ten żywy obraz. W pobliżu dworca kolei żelaznej wstąpiłem do kościoła gli Scalzi, aby dobremu towarzyszowi mojemu sprawić przyjemność uczczeniem pomnika ostatniego doży Manina. Struktura tej świątyni osobliwą jest, raczej dziwaczną a w tak piękne przybrana marmury zewnątrz i wewnątrz, jakich jeszcze nie widziałem był dotąd. Za wielkim ołtarzem znajduje się śliczna Madonna Gian Belliniego, której widok dziwnie uspokaja rozburzony umysł a oczom miły podaje spoczynek odrywając je od ziemskiego świata.

VI.

Minąwszy dworzec kolei żelaznej płynęliśmy po spokojnej, w cudne barwy się mieniającej lagunie wzdłuż mostu wiążącego Wenecją z brzegami Lombardyi. Przypatrzyłem się z bliska ogromnym łukom, potężnym filarom i jego silnym poręczom do niskiego muru podobnym. Cały ten półmilowy łańcuch z 222 arkad złożony, z białego istryjskiego marmuru, ślicznie wygląda z daleka, stokroć przecież piękniejsza cała okolica. Nasyciwszy się jój widokiem zawróciliśmy nareszcie ku miastu i inną drogą, wązkiemi a krętymi uliczkami, przemknąwszy się pod łukami mostków kilkadziesiąt razy, przypłynęliśmy do botanicznego ogrodu przesyceni widokiem martwych głązów. Pośród prześlicznych ziół i różnobarwnych kwiatów, bujnych krzewów i drzew gęstolistnych nagromadzonych tu ze wszystkich prawie części świata orzeźwiała myśl moja i poczęła wracać do nowych nabytków pamięci i wyobraźni. W kilku godzinach przejrzałem olbrzymie album, na którego marmurowych kartach prawie tysiącletnia historia architektury wyrzeżana a niezliczoną ilością rzeźb, obrazów, mozaiek i posągów ozdobiona. Jedne z tych gmachów stawiali mistrze biegli zarazem w rzeźbiarstwie, jak Palladio, Sansovino, kilku Lombardich, Longhena, Scamozzi, Scarpagnino, Sammicheli i inni, według własnych pomysłów; inne zbudowano podług wzorów starożytnych greckich, rzymskich, gotyckich lub w stylu bizantyńskim i maurytańskim odznaczającemi się przepychem; inne wreszcie są tak oryginalne, tak fantastycznych kształtów

i ozdób, że do żadnej w świecie nie dadzą się policzyć szkoły albo z tak rozmaitych złożone struktur, że są tem w historii budownictwa, czem centaury, sfinxy i syreny w dziejach ludzi spokrewnionych z bogami.

Bardzo mało było w ogrodzie gości, rozmawialiśmy więc swobodnie, przechadzając się po zasklepionym winogradami chodniku. Za mało jeszcze widziałeś, mówił serdeczny mój towarzysz, abys należyte mógł mieć wyobrażenie o bogactwach artystycznych Wenecyi. Pominęliśmy pałac Charmet, Pisani, Mangilli, Valmarana, Manfrini i Emo; nie widziałeś bogatego muzeum w pałacu Correr ani akademii sztuk pięknych a nadewszystko bazyliki San Marco, pałacu dożów i kościołów przepełnionych wszystkim, na co się sztuki piękne zdobyć mogą, nie wspominając już bogatych zbiorów ksiąg, rękopisów, rycin i innych po całym mieście rozrzuconych skarbów. A chociażbyś i wszystko przejrzał tak uważnie jak najmilszego pisma wyrazi, mało byś wyczytał historii mego narodu, bo tylko tyle, ile na tych nagrobnych pomnikach przeszłości i na tym całunie malowanym i rzeźbionym zapisano. To pismo jest jako hieroglify na sarkofagach i czechłach mumjów egipskich, które mało kto przezgłoskować umie a odczytać nikt. Znajdziesz dzieje nasze jeszcze w setnych księgach ale i te nie odsłonią ci onych głębin duszy i serca, z kąd tryskają źródła natchnień i zapałów, chęci i czynów, bo historią najciekawszą myśli i uczuć ze wszystkim co je otwierało i burzyło, wzięli ze sobą do grobu ci, którzy za życia historią naszego kraju tworzyli. Ale cóż ciebie obchodzi historia na-

szego ducha? Może nawet mało te szczątki jego ciała, te martwe pomniki, które tylko gorące tchnienie miłości rzeczy ojczystych ożywia, których hieroglify jedynie głęboka znajomość całej przeszłości naszej odczytywać dozwala.

O towarzyszu kochany! powiedziałem, i mój naród przechodził podobne waszym koleje i my siedząc na gruzach odgrzebujemy pamiątki lepszej przeszłości i strzeżemy reszty pomników narodowej chwały. Umiemy i my ożywiać je, jak Prometej martwe posągi, bo i u nas wielu wzięło po iskieierce niebieskiego ognia, niemniej jasno gorejącej od téj, która twego ducha rozpromienia. Jest i w mojej ojczyźnie miasto, gdzie groby na grobach i całe muzeum pamiątek; gdzie historia mego narodu wypisana pomnikami mniej pięknymi ale trwałszymi niż wasze a prochem z kości męczenników posypane jej karty. Wenecyaninie serdeczny! ono miasto to Rzym nasz i Ateny nasze, to Florencya i Wenecya nasza! Ta sama nawet cięży nad niém ręka, co nad waszem a spustoszenie tak wielkie, że aż do głębi duszy i serca sięga żywym a umarłych z grobów rusza!

Widząc, że rozmowa tylko nas drzaźni i rozżala nawzajem, porzuciliśmy spokojny zakątek. Przebiegaliśmy uliczki tak ciemne, jakby słońce nie świeciło; ciasne, że ledwie cząsem obok siebie iść mogliśmy a kręte, jak myśl przewrotnego człowieka. Przechodziliśmy raz poraz mostek kamienny o niziuteńkich poręczach, z którego w prawo i lewo widać było cichą uliczkę wodną; gdzieniegdzie przemykała się gondola, niekiedy plusnęła z balkonu lub okna brudna woda albo

mignął pęk zielonych liści i lupin, smieci brzydkich tuman, czasem znów widok się rozszerzył i rozjaśnił. Przeprawiliśmy się przez niejednen rynecek zapełniony ludźmi i kramarzami, gdzie dużo było życia i gwaru i znów przepadaliśmy w pomroku uliczek owiewani najrozmaitszemi woniami domowej atmosfery po miastach pospolitéj a prócz tego słyszeliśmy rozmowy, śpiewy, śmiech i krzyki mieszkańców tego labiryntu tłumione niekiedy stukiem młotów, brzękiem blachy, skrzyphem pilników i innemi głosy rzemieślniczych narzędzi, wszędzie bowiem drzwi i okna stoją otworem dzień cały, aby więcej wchodziło światła i powietrza. Świat ten ciasny i duszny przykre sprawia wrażenie; nad głową nawet wiszą balkony i krużganki oszpecone suszącą się bielizną i brzydkimi szmatami; w oknach widać często gęsi, indyki, i inne ptastwo zabite, z piérza odarte, kawały mięsa, ryby, sznury suszonych owoców niby paciorki, a wśród tych nieładnych ale malowniczych ornamentów nieraz się ukaże pięknie ubrana madonna, częściej w zbyt niedbałym odzieniu rozczochrana Maddalena a najczęściej dzieci; niekiedy piękne jak aniołki, zwykle zaś półnagie a brudne. Nadto wszystko wyżej stercząc zakopcone mury nie pozwalające znużonym oczom rzeźwić się widokiem wspaniałych stropów niebieskich, zaledwie bowiem wązki dostrzedz można pasek.

Przybyliśmy nareszcie na plac św. Marka. Po takiej przeprawie stokroć wydaje się piękniejszym i większym a widok na kanał pełen łodzi, okrętów i gondol, dalej na wyspę San Giorgio z wspaniałym kościołem zaciera od razu posępne

obrazki z dopiero odbytej przechadzki przyniesione, ale nie na długo. Ledwie bowiem oczy spoczną na jakim nowym obrazie i pierwsze wrażenie mdleć pocznie, wracają tamte żywsze i piękniejsze i takimi pozostają w pamięci na zawsze.

Plac mniejszy św. Marka zwany Piacetą jest tylko z dwóch stron zamknięty; po lewej, od wielkiego placu idąc, bokiem pałacu dożów a po prawej frontem biblioteki Sansovina sławnej pięknnością struktury. Zbliżający się do krawędzi Piacety widzi po lewej długie i szerokie wybrzeże otwarte na kanał św. Marka, wygradzone od strony miasta szeregiem budynków najrozmaitszej struktury począwszy od pałacu dożów i sławnych więzień połączonych z nim Mostem Westchnień (Ponte dei sospiri) aż do małych domków. Koniec tego wybrzeża zaokrąglony zajmuje ogród największy w Wenecyi a oblewa woda. Jest to najbardziej ożywiona ulica z najpiękniejszym widokiem na kanał, przeciwległe wyspy i malownicze wybrzeże, zwana Wybrzeżem Sławiańskim, (Riva degli Schiavoni). Tu wylega całe popółstwo, tu wszyscy gondolierowie, drążnicy (fachini), wyrobnicy, żebracy i majtkowie główne mają siedlisko przez dzień cały, tu życie mieszkańców Wenecyi i cudzoziemców, ich obyczaje i ubiory są na wystawie. W dolnych pokojach i salach domów nadbrzeżnych same kawiarnie, garkuchnie, cukiernie i sklepy a oprócz tych jeszcze na ulicy stoją budki i namioty, częstokroć tylko ogromne parasole, pod któremi siedzą kramarze i restauranci. Ponieważ w Wenecyi nie ma żadnych wózków ani nawet osiełków po włoskich miastach tak pospolitych, dla tego ina-

czěj zupełnie wyglądają tu place i ulice. Swobodnie się ze wszystkiēm rozkładają ludzie i roją wszędzie. Nikomu nie spieszo uciekać przed najeżdżającymi pojazdami, ani tēż potrzeba tłoczyć się i potrącać.

Tu pod otwartem niebem smażą mięso, ryby i makarony; pieką jabłka, kasztany i różne ciasta; gotują, jedzą i piją; bawią się wesoło z śmiechem i okrzykami, grają w karty, kości, loterye; obnoszą różne rzeczy na sprzedaż; rozstawiają stoliki pełne potrzebnych i niepotrzebnych rzeczy i kosze z pięknymi owocami; na ziemi leżą stósami kwiaty; polisznele stawiają wysokie trybuny, harlekiny i marynetki bawią gapiących się majtków zagranicznych i gawieź swojską; inni pokazują różne osobliwości, zwierzątka, sztuki, obrazki a muzyki wszędzie pełno. To wrące życie owiēwa najrozkoszniejsze powietrze a słońce przepysznie oświeca. Istny to kalejdoskop najpiękniejszą może w świecie przyozdobiony oprawą.

Pomiędzy rojącymi się tutaj ludźmi spotykałem dużo pięknych postaci dalmatów. Ich czarne oczy i włosy, żywe poruszenia i namiętność z oczu tryskająca okazują mieszkańców południa, włosów, ale rysy twarzy są sławiańskie, jakoż i językiem swoim mówiących słyszałem i obyczaje dostrzegłem inne, od włoskich różne, a przecież uderzające jest podobieństwo pomiędzy ludem weneckim szczególnie z okolic miasta a dalmatami. Dowodzą historycy ilirscy, iż starożytni mieszkańcy laguny weneckiej byli w znacznej części sławianami. Być może, wspomina o tēm i Szafarzyk, świadczą podziśdzień żyjący tu furlanie zachowujący wiele obrzędów i zwy-



czajów sławianom południowym wspólnych. Dalmaci sami zowią się dotąd rodzonymi braćmi wenetów. Ilirowie i dalmaci byli niegdyś panami Adryatyckiego morza, jakoż zwali je starożytni pisarze morzem ilirskim a z późniejszych Ariost w Orlandzie szalonym zowie je morzem Sławiańskim (il mar Schiavo), łatwo więc mogli zaludnić znaczną część wysp na lagunie weneckiej. Z czasem pomieszały się widać te plemiona sławiańskie z romańskimi, zatarły się wyraziste rysy we wszystkim aż do języka, który mieszkańcy Wenecyi i bliższych okolic wzięli od włosków i po swojemu przetworzyli w dyalekt wenecki, dotąd używany. Wielu dzisiejszych mieszkańców Dalmacyi, z rodu prawdziwych sławian, używa tylko włoskiego języka, nie umiając własnego. Zatrata ojczyztego języka najsmutniejsze za sobą pociąga skutki, bo zmianę obyczajów, zapomnienie tradycyi ojczyztych, wreszcie wynarodowienie zupełne, jak to widzimy u licznych plemion sławian południowych, mianowicie u bułgarów i albańczyków żyjących pod rządem tureckim, dla tego też wielu dalmatów za ledwie dziś od wenecyan rozróżnić można, bo zatraciwszy język, zmienili i obyczaje.

VII.

Przejrawszy z moim towarzyszem niezliczone obrazy, posągi, rzeźby, mozajki i sztukaterye zdobiące kościoły, pałace i inne gmachy, nabyłem przynajmniej ogólnego wyobrażenia o dziełach weneckich mistrzów, mających pewne odrębne zna-

miona, stanowiące ich charakter zwany szkołą. Najpiękniejsze obrazy Tiziana, Palmy starszego i młodszego, Tintoretta, Pawła Caliari zwanego pospolicie Werończykiem (Paolo Veronese) i Carpaccia przedstawiające świat niebieski czy ziemski czy fantastyczny oddychają wszystkie życiem ziemskim, dla tego tak czarują zmysły i duszę wciągają w swoich czarów koło. Prześliczna św. Barbara i inne mistrza Palmy, cudnie piękne trzy święte dziewice Sebastiana dal Piombo, wszystkie święte i nieświęte postacie Jakóba Robusti zwanego Tintoretto, nawet najpiękniejsze Madonny Tiziana przypominają zbyt żywo piękne, prawdziwe weneckianki dzisiaj po ziemi chodzące. Jedyny wyjątek stanowią obrazy świętych Gian Belliniego mianowicie jego Madonny i anioły, postacie zachwycające pięknnością idealną, otchnione życiem nadziemskim.

Poważne i wzniosłe postacie apostołów, świętych pańskich i innych figur w obrazach historycznych weneckich oraz całe chóry aniołów, wszystko to wierne kopje żyjących niegdyś oryginałów, jakie dotąd się spotyka wśród ludu czysto weneckiego. Jakże nie ma być tak wielu malarzy we Włoszech, kiedy od dzieciństwa patrzą na najpiękniejsze, prawie idealne wzory ludzi, ich mieszkań i całego świata Bożego, w którym żyją, tak cudnem jaśniejącego światłem, tak pysznemi połyskującego barwami!

Jedynie mistrzowski dobór postaci i tła, ułożenie i zestawienie figur, jak na obrazach Pawła Werończyka i Tintoretta, albo przepyszny koloryt i czarowne oświetlenie, jak w obrazach Tiziana, wreszcie owo duchowe życie, którem

genialni mistrze otchnęli swoje dzieła a które się wcale opisać nie da, stawiają je tak znacznie wyżej nad powszednie, zbyt wierne kopje ziemskiego świata. Światło, koloryt i rysunek są potęgami, bez których żaden malarz nic począć nie może, ale niewielu tak je mieć w swój mocy i tak zażywać umie, jak malarze weneccy.

Powiadają, że Tizian brał zwykle wzory z własnej córki Lavinii; najczęściej jednak malował Violantę, córkę Palmy, przemieniając ją po kilkadziesiąt razy to w świętą to w ziemiankę, to w Madonnę, li tylko genialną zmianą kolorytu i światła, szat a przedewszystkiem wyrazu twarzy. Zawsze jednak poznasz tę samą Violantę, piękną córkę mistrza Palmy, który ją także w kilku obrazach przedstawił. Każdy prawie z weneckich mistrzów miał za wzór swoje Stelle, Lavinie i Violanty, jakie podziśdzień mają i mieć muszą wszyscy malarze i rzeźbiarze we Włoszech.

Prześliczne są freski w pałacu dożów, między nimi najbardziej zachwyca obraz zdobiący strop wielkiej sali, przedstawiający Wenecyę w jej chwale. Paweł Werończyk odmalował tu podobno siebie z całą swoją rodziną. Równie żywy jest obraz mitologiczny tegoż mistrza uwieszenie Europy, gdzie cała gromada najpiękniejszych dziewic tak zachwyca oczy, iż zdaje się, że te rozkoszne postacie głośnem słowem powołać można do życia a zejść ze stropu lub zniknąć w malowanych obłokach. Nawet święci i święte, aniołowie i Madonny po kościołach nie mają tak idealnych postaci, jak na obrazach mistrzów innych szkół włoskich.

Widać że żywcem przeniesione zostały ze ziemi w malowaną niebios dziedzinę.

Był za czasów Tiziana, podobno później jego uczeń, Andrea Schiavone (Andrzej Sławianin) dalmata, który w młodości tak był biedny, że nie mógł w żadnej szkole się kształcić a jednak sławnym wyrównał mistrzom i niejeden piękny namalował obraz, jak n. p. freski w Starłej Bibliotece. Sławiańskich artystów snąć już od wieków czepiała się nędza i czepia dotąd, hamując nieraz postęp ku wyżynom sztuki. Szczęście i dobre powodzenie wielce podnosi moralnie; niedostatek często przytępia uczucia a fantazyi zawsze łamie skrzydła, bo umysł mroczy. Dla tego to niejeden u nas talent marnieje.

Lubo Wenecya dziś jeszcze bogata w obrazy malowane na płótnie, drzewie, al-fresco i mozaikowe, daleko przecież bogatsza w dzieła rzeźbiarskie i snycerskie z różnego kamienia, drzewa i kruszcu. Dosyć przejrzeć kościoły: Maria dei Miracoli, San Salvatore, Giorgio Maggiore, S. Maria dei Frari i San Giovanni e Paulo, gdzie tyle olbrzymich znajduje się nagrobków marmurowych i ślicznych płaskorzeźb; dosyć obaczyć arcydzieło rzeźbiarskie u stóp dzwonnicy ś. Marka zwane Loggetą, posągi po placach i zewnętrzne różnych gmachów ozdoby, aby się o tém bogactwie przekonać. Po samych już kościołach tyle jest dzieł rzeźbiarskich, iż samo wyliczenie ich dużaby zapełniło księgę. Pomiedzy temi są arcydzieła nietylko z najpiękniejszych marmurów ale i z drogiego kruszcu, jak n. p. wielki ółtarz w bazylice

San Marco, zwany Pala d'oro, w złocie i srebrze kowane i ryty, perłami i drogiemi kamieniami suto nasadzony, którego obrazy z emalii jeszcze kosztowniejsze niż ich oprawa; jest mnóstwo pięknych naczyń i sprzętów kościelnych, są całe ołtarze z marmurowych posągów złożone lub w spiżu odlewane i ryte, przepyszne kandelabry, balustrady i drzwi podziwianie wzbudzające pięknnością i bogactwem rzeźby jak np. drzwi brązowe zakrystyi w kościele ś. Marka.

Te niezliczone skarby rzeźb, odlewów i ozdób sztukaterskich w Wenecyi zebrane przedstawiają w żywych wzorach tysiącletnią historią skulptury i spokrewnionych z nią sztuk, poczynawszy od posągów aż do misternych wyrobów złotniczych. Tysiące rąk pracowało przez dziesięć wieków nad przyozdobieniem tego osobliwego miasta pod przewodnictwem sławnych w swój sztuce mistrzów, jak Rizzo, Vittoria, Camelio Leopardi, Campagna i tylu innych. Wszyscy celniejsi architekci byli także biegłymi rzeźbiarzami i sami ozdabiali swoje architektoniczne dzieła, a nadto zwozili bogaci wenecyanie różne ozdoby z Włoch i Grecyi, z kąd n. p. brązowe konie stojące nad bramą bazyliki, olbrzymi lew marmurowy stojący przed arsenałem i mnóstwo rzeźb i filarów w kościele ś. Marka.

Niezmiernie trudną do wykonania, daremną prawie jest chęć opisanja Wenecyi dokładnie. Jakimże sposobem te tysiące najrozmaitszych przedmiotów w jednolity połączyć obraz? Czyliż można martwemi słowy żywe i wierne nadać mu barwy i kształty i tak jasne po całym rozlać światło, iżby go czytelniczy własną wyobraźnią odtworzyć byli zdolni chociażby

tylko tak podobnym, jak obraz malowany z natury do oryginału? Ogromne by trzeba zapisać księgi chcącemu wdawać się w szczegóły. Sam jeden pałac dożów tyle zawiera dzieł sztuki, tyle budzi historycznych wspomnień, tyle chowa pamiątek, że księgę niemi zapełnić można. Tu są portrety wszystkich dożów, tu cała historia wenecka w malowanych obrazach. Po pustych salach i krużgankach drzemie cała przeszłość Rzeczypospolitój i odwieczne spoczywają pamiątki; do ścian i gzymsów, stropów i filarów przyległe echa dawnych obrad i uchwał senatu, rady dziesięciu i sądów tajemnych budzi lada wspomnienie. Przemawiają malowane postacie i marmurowe ściany, ożywają posągi i figury fresków pyłem pokryte; z więzień dolatują uszu stłumione jęki a z przekłętego mostu ciężkie wzdychania. Jeżeli znasz historią Wenecyi a żywą masz wyobraźnią, obaczysz tu całą przeszłość weneckiego narodu, skoro tylko wejdziesz na dziedziniec pałacowy przez czarodziejską bramę Porta della Carta.

Wszystkie zaś kościoły weneckie razem wzięte nie dają tak dokładnego wyobrażenia o bogactwie i wytworności dawnych wenetów, ani tak poważnych i głębokich nie wzbudzają uczuć, jak bazylika San Marco. Pałac dożów i kościół ś. Marka! obadwa te pomniki dopełniają się wzajemnie. Ten jako przybytek świata duchowego przybrany w odpowiednie swemu przeznaczeniu kształty i ozdoby; tamten jako mieszkanie ziemskich władców pysznym jest gmachem pełnym ozdób i obrazów świata ziemskiego. San Marco a Palazzo ducale to przybytek boży a palladium Rzeczypospolitój. Prześli-

czna brama dzieli je i łączy zarazem. Złączone nad ziemią, lecz na ziemi, niestety! rozdzielone od wieków.

Nadzwyczaj wspaniale i uroczyste jest wewnątrz świątyni. Światło lejące się złotymi potokami przez latarnie kopuł i wysoko umieszczone okna o malowanych szybach czarownie oświeca mozaiki starożytne po sklepieniach na tle złotem i freski po galeryach górnych, gdy tymczasem cała dolna część nawy i kaplic zawsze w półcieniu a podniebienia łuków i wszystkie zakątki w wiecznym zostają pomroku. Co tutaj skarbów, co arcydzieł malarskich, rzeźbiarskich, mozajkowych i złotniczych; ileż tu pamiątek z całego życia Rzeczypospolitej, nagrobków, piękna w architektonice i ozdobach, ile wzniosłych myśli po tych stropach wysokich i ścianach malowanych, unoszących duszę mimowoli w sfery nadziemskie!

Wszedłem pewnego wieczora do bazyliki. Czerwone odbłaski zachodzącego słońca płonęły drżąc po mozajkowych obrazach, złote tła iskrzyły się jak w płomieniu, cała górna część świątyni jaśniała niezwykle barwy, nie wielu pobożnych modliło się przed ołtarzami po kaplicach osłonionych mrokiem, gdzieś migotały blade płomyczki lamp, wszędzie uroczysta panowała cisza. Zachwycony wspaniałością tego widoku patrzałem długo stojąc na środku nawy, tymczasem zgasły słoneczne blaski, cała świątynia zaczęła się rozszerzać i urastać ku niebu, znikły wszystkie ciemne barwy, ściany, filary i kształty; białe posągi zaczęły się ruszać, schodzić z ołtarzy i swoich podstaw, ożyły malowane postacie, przybrani w mozajkowe szaty niebianie i niebianki wystąpili ze złocistych

stropów ku mnie, potem wszystko się poczęło rozchodzić i oddalać, nareszcie znikło. Takim się przedstawia wnętrze bazyliki San Marco o zachodzie słońca. Chwilę jeszcze stałem odurzony, spojrzałem dokoła, nie było prawie nic widać, tylko jakieś cienie kształtów potwornych i szczątki ołtarzy błyskających to jaśniej to mdliej w mgającym świetle tu i owdzie dogorywających lampek. Przesunęło się koło mnie kilka tajemniczych, bo nieznamomych postaci, pośpieszyłem za nimi, tuż za mną kościelny z kluczami, wyszedłem na plac ś. Marka pysznie oświetlony.

Nigdy w dzień biały nie wydaje się tak pięknym, bo na wszystkich otaczających go pałacach widać ślady zniszczenia, opuszczoną przez młode pokolenie starość smutną i ponurą. Wszystkie dolne pokoje prokuratorjów zamienione w kawiarnie i sklepy najrozmaitszych towarów i cacek pełne, odejmują starożytnym gmachom dużo uroku i rażą uczucia estetyczne a rojące się tłumy ludzi pospolitych, po większej części cudzoziemców gapiących się wszędzie, psują cały obraz. Lecz wieczorem, przy świetle gazu i księżycu wszystko tu inną przybiera postać i inne barwy. Kształty wspaniałych gmachów ze wszystkimi ozdobami pięknieją; marmury ścian i filarów połyskują świetnieją, mozaikowe obrazy frontu bazyliki, konie nad bramą nabierają życia; cacka złotnicze i galanteryjne pod kolumnadami prokuratorjów wystawione w oknach wydają się czarodziejskimi skarbami Saladyna; wysmukła, kształtem do obelisku podobna dzwonnica ś. Marka, maszty przed bazyliką i jój kopuły zdają się niebios sięgać szczytami; wszystko ol-

brzymieje a cały plac ożywiają strojne tłumy, których twarze wydają się piękniejsze a oczy żywsze. Na gmachach i ludziach w dzień widzialne skazy nikną przy świetle gazu. Cała sala mieni się w tysiączne barwy, szumi różnojęzycznych słów falami, wśród których nieraz i polską słyszałem mowę a szelest sukien jedwabnych i stóp łośkoty tłumi muzyka orkiestryonów, zagłusza krzyk przekupniów zalecających najrozmaitsze rzeczy.

Niosący na głowie dużą tablicę zastawioną figurkami i naczyniami z gipsu lub terracotty woła: *belle art! belle figure!* dzieci dźwigające kosze pełne kwiatów śpiewają bez ustanku: *fiori! bellissimi fiori! piante di Venezia!* Inni wygłaszają: *pomi! aranci! pomi neri! belle conchiglie! tartaruga! macaroni* i t. p. inni wciskają karty polecające rzemieślników, artystów, nauczycieli włoskiego języka i hotele, biedni wreszcie płci obojój proszą zcicha o wsparcie drżącym głosem, częstokroć tylko wyciągnioną ręką i błagalnym wzrokiem. Otóż zwyczajny obrazek życia wieczornego na placu św. Marka, codzień prawie do północy widzialny.

Mimo te wszystkie łudzące pięknnością i weselem pozory, widać przy świetle słonecznem ogólny obraz upadku miasta; wszędzie spustoszenie i nędza przeważa. Najpiękniejsze zabytki budownictwa rozpadają się w kawałki, niektóre odarte ze wszystkich ozdób zewnętrznych i wewnętrznych podobne są szkieletom, wiele pamiątek narodowych niszczyje zwolna w zupełnem zaniedbaniu, wiele też pouwożono w obce kraje mianowicie obrazy, posągi, ozdoby rzeźbione, sprzęty, naczynia starożytne i tysiące drobnych rzeczy. Dzisiaj spustoszenie to

postępuje krokiem bardzo szybkim, bo nędza się wzmogła w ostatnich latach pod rządem austriackim, słynnym od wieków niegodziwą administracją. Wiele pałaców weneckich przeszło w ręce cudzoziemców, którzy je także odzierają z różnych ozdób i do innych siedzib swoich wysyłają. Tak n. p. sprzedali dziedzice po części z biedy pałac Loredan Esterhazemu, Fini Wimpfenom, Gritti Wetzlarom, Cavalli księciu Bordeaux, Tiepolo Stürmerom. Kilka innych zamienili nowsi nabywcy w hotele, najpiękniejsze zaś i najwięcej pozajmował rząd austriacki, pomiędzy temi pałac dożów, bibliotekę Sansovina, prokuratorye, pałac napoleoński, arsenał, akademią sztuk pięknych i inne. Wiele bogatych niegdys rodzin weneckich posprzedawało rzeźby, obrazy i inne po przodkach swoich państwa, jak n. p. rodzina Barberigów całą galeryą obrazów powiększłej części Tiziana i Giorgiona. Dużo też zginęło w czasie wojen ostatnich mianowicie za Napoleona I, w którego armii niejednen był miłośnik sztuk pięknych; dużo wreszcie niszczało w ogniu lub czasie, a mimo to wszystko zostało jeszcze tyle, że gdyby Wenecyą rozebrać z marmurów, poodzierać z obrazów, izełb i mozaiek i ogołocić z posągów, jeszczeby się sto miast niemi obdzielić i znacznie przyozdobić mogło, chociażby każde wzięło tylko po jednym kościele i po jednym pałacu a z bazyliki św. Marka i pałacu dożów po setnej części.

VIII.

Wśród tyłu pałaców, wspaniałych i przebogatych kościołów, fantastycznych kamienie, świetnych wystaw rzeczy drogich a zbytkowych, we świetle tak jasnym słońca dziwnie wygląda ubóstwo znacznej części mieszkańców i powszechny nieład i nieporządek uliczny i domowy. Wszędzie, o każdej porze zabiegają drogę żebracy i żebraczki częstokroć tak wynędzniali, że serce się ściska ze żalu, iż nie można każdemu dać jałmużny. Przy narożnikach ulic, na mostkach, w przysionkach kościołów obaczysz dłoń wyciągniętą lub rączkę dziecka nieraz tak pięknego, jakby dopiero co zeszło ze stropu którego kościoła, gdzie było przy Bogu lub Madonnie malowanym aniołkiem, a odziało się w znalezione po drodze łachmanki, gdy szło między ludzi. Często słyszałem głos przejmujący smutkiem: *ho fame signor!* (mam głód panie), *Madre, ho fanciulli!* (matka, mam dzieci). Ileż tu nędzy w opustoszałych pałacach, po zakątkach ciemnych jak jaskinie! Całe rodziny nie mają czasem nic prócz duszy, ciała okrytego szmatkami, kilku skorupek glinianych, trochę suchych liści i trawy za poślanie; nic prócz obfitego źródła łez na pociechę. Jedy-
nym ich sposobem utrzymania żebranina a mniej lub więcej udatna postać, mniej lub więcej ujmująca piękność nędzą udratyzowana jedyną miarą powodzenia w tém smutnem zajęciu. Oglądałem niejeden taki zakątek, gdzie się nędza chowa dnie całe, dopiero wieczorem wychodzić się ośmielając. Przy świetle księżycy i gazu nawet nędza piękniejszą się wydaje, jeźli

nie okiem litości ale artystycznym na nią patrzymy. Tak samo jak one chatki odarte w pustych okolicach górskich, chociaż mieszkańcy ich drżą od zimna i umierają z głodu, deszcz ich zalewa lub śniegi zasypują, nam się przecież wydają bardzo malowniczą, żywą a piękną ozdobą krajobrazu. Są i tutaj Łazarze i biedne kobiety, które nigdy nie żebrzą publicznie. Wiadomo każdemu, że to nędza najcięższa, to też weneccyanie, w ogóle bardzo serdeczni, choć biedni, chętnie się dzielą z biedniejszymi i wstydliwą nędzą w pomoc przychodzą najskwapliwiej.

Nie całkiem słuszny jest zarzut weneccyanom w obec całego świata w oczy miotany, że jedynie lenistwo do takiej ich przywodzi nędzy. Dawniej tak nie bywało. Dopiero od czasu rządów austriackich namnożyło się tyle żebractwa, wiele bowiem co najbogatszych rodzin signorii nie mieszka wcale w mieście dla niemiłych ze rządowemi figurami stosunków, ztąd dużo biednych pozbawionych zarobku a prawdziwie ubodzy wsparcia, szczególnie w chorobach. Administracya austriacka nie prawie dla ubóstwa nie czyni a władze municypalne nie mogą, bo fundusze miejskie bardzo małe, do robót zaś publicznych zwykle Bóg wie jakich sprowadzają cudzoziemców. Wreszcie, ponieważ tu wielki panuje ucisk militarnopolicyjny, podupada wszelki rozwój przemysłowy i handlowy. Najmniejszej swobody politycznej nie ma, ztąd niechęć do pracy rośnie a nędza się szerzy nawet wśród wykształconych i zamożnych mieszkańców Wenecyi, poniekąd z rozpaczy. Stosunki klasy rzemieślniczej i wyrobników daleko tu gorsze niż u nas, dla tego, że poło-



zenie miasta tak osobliwe utrudnia wszelkie związki z głównymi źródłami zarobku, jakimi są fabryki i prace rolnicze a żywność wszelka droższa niż gdziekolwiek w pobliżu na stałym lądzie. Bodajby się jeden tak leniwy znalazł we Wenecyi, coby wolał umierać z głodu, niż pracować cośkolwiek a jest bardzo biednego ludu, który prawie tylko z jałmużny żyje, wraz z dziećmi około 30 tysięcy, na 130 tysięcy mieszkańców ogółem. Nic dziwnego, że tyle nędzy szerzy i demoralizacyą a jeszcze nas mniej dziwić powinno, że nieprzyjaciele rozgłaszają tak skwapliwie wszystko, cokolwiek ujarzmiony lud zniesławić może. Służalce pióra zawsze skore do obelżywania uciśnionych, sławią i tutaj zasługi rządu austriackiego około szerzenia kultury i cywilizacyi a zatém dobrobytu, co już oczywiście jest szyderstwem, uchodzącem przecież za prawdę u nieprzyjaciół Italii, a więc nie u nas.

Wenecyanie są z przyrodzenia bardzo łagodni i cierpliwi, żywi i do wesołości skłonni, we własnym interesie dla cudzoziemców nader uprzejmi, bo na pieniądze chciwi. Pospólstwo miejskie odznacza się w ogóle szlachetną postacią, wdziękiem mianowicie u kobiet i dzieci i pięknym językiem. Z każdym gondolierem, fakinem, żebrakiem i żebraczką rozmawiać można godzinami a nic nieprzyzwoitego, nic znamionującego złość lub surowość nie uczyni ani nie powie, nie obrazi niczem nawet bardzo delikatnych uczuć wykształconego człowieka; jedynie nędzą i lachmanami odrazić może, co już nie od niego zależy. To też tutaj nie widać takiego odgraniczenia stanów. Ludzie wykształceni i bogaci, nie wyjmując signorii włoskiej,

zblizają się chętnie do biedniejszych i rozmawiają z nimi bez przykrości, nawet z żebrakami, bo i pod łachmanami poczciwie biją serca, jak wszędzie, tak i tutaj szczególnie, gdzie niedola wspólna i miłość i nienawiść jednaka a osobliwie język jeden i ten sam, wszystkich ku sobie wzajem pociągają i w jedno patriotyczne łączą społeczeństwo. Są też wprawdzie wyjątki renegatów ale nie liczne. Jedynie duchowieństwo wyosobnia się, jak w całych Włoszech tak i tu, ze spółki narodowej, dla tego też nie lubione, unikane w życiu prywatnem nie wywiera należytego wpływu na życie moralne i obyczaje własnego narodu, który je zrodził, wykształcił, uposażył i przewodnikami mieć chce ale do ołtarzy ojczystych, Bogu pełnemu miłości stawianych, nie zaś kapłanami bogów pogańskich, pełnych grozy i moralnego okrucieństwa.

Zabawy bardzo lubią weneccyanie, lecz smutne stosunki lat ostatnich silny wpływ wywarły na wrażliwy ich umysł w przeciwnym kierunku. Więcej widać zadumanych i smutnych twarzy niż wesołych. Kilka teatrów i różne zabawy ludowe, jak karnawał, wyścigi gondolierów i t. p. nie zwabiają już od wielu lat ani tylu widzów miejscowych, ani też nie rozweselają aż do zapomnienia o wszystkim; nawet młodzież miejska wykształceńsza stara się zachować w obec rządu i cudzoziemców godność narodową, nie dopuszczając się zbyteków żadnych, rażących ogół narodu w niewoli zostającego. Pięknym jest w tym względzie dla niej przykładem szlachta wenecka, dumna ale umiejąca szanować przeszłość swoją i zachowywać należyłą powagę znosząc mężnie a godnie ciężką dolę.

Mieszkańcy Wenecyi dósę są pobożni, szczególniej signory wszelkiego stanu lubią przebywać po kościołach, bo jakże tam pięknie, spokojnie a uroczyście! Święci i święte żywemi patrzą oczyma na modłące się smutne i utrapione, wyciągając ku nim ręce błogosławią lub wskazują ku niebu, zachęcając wymownie do podniesienia się duchem w one sfery, gdzie pociecha pewna, gdzie jedyny dla serca spokój i szczęście wieczne. Najserdeczniej się modlą najciężej pognębione, najbardziej życiem znękanie, a widząc jak oblicza świętych patronów i patronek w ich łzami przeczyszczonych oczach się rozjaśniają, jak Madonna z niebiańskim uśmiechem wstawia się za nimi a Chrystus litościwie, z miłością patrzy na niedole i winy mieszkańców ziemi, słyszą w tém pobożnem zachwyceniu i głosy niebian i odchodzą z pociechą w sercu, z żywą nadzieją przebaczenia win wszelakich w duszy. Otóż to pośrednictwo między ludźmi a niebianami pełnią tak skutecznie obrazy i posągi natchnione religią a wykonane przez wielkich mistrzów. Ten to jest najwyższy tryumf sztuk pięknych.

Szkoda wielka, że dzisiaj tak podupadły! Nie ma dzisiaj Wenecya żadnych znamienitych artystów, ani sławnych pisarzy, ani drukarń tak wybornych, jak niegdyś, w których niejedno nas żywo obchodzące dzieło wyszło z pod ręki Juntów i Aldusów. Wszelkie niegdyś słynne na świat cały fabryki paciorków, szkieł, zwierciadeł, wyroby ozdób złotych, srebrnych i jubilerskich dzisiaj bardzo podupadły, niektóre zupełnie znikły. Dotąd jeszcze wyrabiają we Wenecyi rozmaite piękne cacka mianowicie sztukaterowie naśladowujący doskonale staroży-

ne kamee i pasty; inni robią sliczne mozaiki, medaljony, brosze, pierścienie, koszyeczki, skrzynki i t. p. ozdoby i sprząciki znane i u nas niejednej damie salonowej; dalej paciórki, perelki, flakoniki i t. p. cacka ze szkła, między temi naśladowujące różne kamienie wyrabiają bardzo pięknie na wyspie Murano, we fabryce najstarszej w Europie, ale wszystko to wytwarzają dzisiaj i po innych miastach również misternie. Jest tu pomiędzy innymi pracownia złotnicza, gdzie same tylko robią łańcuszki z najczystszej złota, począwszy od cienkich jak nitki, tém osobliwa, że od kilku set lat w téj samej istnieje kamienicy i po dziś dzień ta sama familia utrzymuje sławę tych wyrobów na całą Europę. Wielu jest we Wenecyi sztukmistrzów rozmaitych, ponieważ ich wyroby znajdują znaczny pokup u rojących się tutaj bezustannie cudzoziemców, lecz ostatnie czasy i temu przemysłowi znaczną zadały klęskę. Większa część mieszkańców Wenecyi jedynie z cudzoziemców żyje, od liczby ich zależy większy lub mniejszy dobrobyt miasta całego. Gdyby było wolne, znikłaby niezawodnie nędza i zniknie kiedyś, może wkrótce. Nieostrożni a bogaci cudzoziemcy przepłacają tu wszystko ogromnie, bo kupcy wszelkiego rodzaju aż do księgarzy mają zwyczaj żądać cen jak najwyższych, prawie bajecznych. Tak n. p. zaczął mi księgarz jeden za kartę Europy 6 złt. r. (24 złtp.) a spuścił za 2 złt. r. czyli 4 złtp. inny żądał za kilka obrazków 40 złtp. a wziął dziewięć. Najgorzej przecież wychodzą amatorowie obrazów, rzeźb i antykwarskich przedmiotów, jeżeli, jak to najczęściej bywa, na rzeczy się nie znają, ponieważ zwykle przepłacają wszystko

sądząc że nabywają dzieła sławnych malarzy i rzeźbiarzy lub historyczne pamiątki, gdy tymczasem kupują rzeczy podrobione. Niejeden antykwaryusz tutejszy zrobił majątek na łatwowiernych cudzoziemcach, w czém mu niemało pomogła znakomita wymowa i grzeczność u weneccyan bardzo pospolita a łatwo ujmująca.

IX.

W przedostatnim dniu mego wyjazdu z Wenecyi pożegnał mnie serdeczny kapitan, miły mój towarzysz udając się do Florencyi. Sam tedy chodziłem do późnego wieczora po labiryntowych, jedynie z okien domów oświetlonych uliczkach. Coraz mniej spotykałem ludzi, wreszcie światła poczęły gasnąć, nie było już żywej duszy widać a milczenie roztaczało się równocześnie z chmurami na niebie. Zrobiło się ciemno, deszcz zaczął padać rzęsimy, obawa mnie poczęła niepokoić, że może całą noc błąkać się będę, bo nie wiedziałem wcale w której stronie San Marco, a tymczasem odpłynię mój okręt do Tryestu. Wtém usłyszałem kilka męzkich głosów śpiewających aryę z opery *il Trovatore*; zwróciłem się w ową stronę i wkrótce naszedłem czterech dobrze podochoconych mężczyzn w odzieży wyrobników, którzy mnie na zaręczenie, że jestem polakiem, uprzejmie powitali i aż na plac św. Marka odprowadzili.

Świetniej niż zwykle wyglądała sala San Marco. Deszcz zamienił jęj posadzkę białym marmurem i trachytem wyłożoną w ogromne lustro, w którym się wszystkie jęj ściany całym

przepychem architektonicznym błyszczące odbijały. Wypogodziło się niebo, czarodziejski obraz, po którym stąpałem, pokryła przezroczysta zasłona lazuruwa, haftowana w gwiazdy złote; księżyc wyglądał z jednego jęj roga i sębrzyste rozlewał blaski; po całym obrazie przesuwaly się pół przezroczyste, coraz innego kształtu obłoczki a po brzegach roily się ludzkie postacie w różnobarwnych strojach. Cały plac był pusty, bo wszystko się cisnęło pod kolumnady, swobodnie więc przeglądać mógłem ten jedyny w świecie tak piękny obraz dwoistem światłem niebios i gazu opromieniony a najpodobniejszy do onych obrazów świetlanych, które się na wybrzeżach neapolitańskich około wyspy Capri i w pustyniach Afryki w powietrzu ukazują.

Wtém usłyszałem świst przeraźliwy, przerywany, pośpie szyłem do brzegu Piacety, wsiadłem w pierwszą lepszą gondolę i stanąłem w sam czas na pokładzie parowca. — Zegary zaczęły wybijać dwunastą; z ostatnim dźwiękiem zabrzmiały łańcuchy, majtkowie poczęli obracać kołowrot, uci chło potężne wrzenie wody w kotle parowym, słychać było tylko monotony śpiew majtków: lira, lira, lira! i tykot nawijającego się na walec kołowrotu łańcucha, ciągnącego za sobą kotwicę ciężką, jak zawiedziona nadzieja, której jest symbolem. Zaszumiała cichuteńka dotychczas woda, zadrzał dotąd spokojny okręt i posuwał się zwolna środkiem kanału San Marco, wdłuż Sławiańskiego wybrzeża. Addio bella Venezia! Addio! zawołało kilku podróżnych, gdyśmy już mijali Giardini publici. Jeszcze chwilę patrzyłem na prze-

twarzające się gmachów postaci; migały światła, luna płonęła nad salą św. Marka, świeciły białe kopuły i wieże, jeszcze błyskały złote krzyże i galki w świetle księżyca, zasłanianém co chwila uciekającymi przed wiatrem chmurkami; lecz zaledwieśmy minęli warownią S. Andrea, pociemniały szaty pięknej Królowej morza i utonęła czarna jak mara w lagunie.

X.

Ledwie zasiadłem w kajucie, aby zapisać ostatnie wrażenia, posłyszałem czochanie, stuk i bieganie gromadne nad głową. Wybiegłem na pokład, kapitan stał na swojej galeryi i wydawał rozkazy a majtkowie się krzątali przywiązując do boków okrętu beczki i skrzynie, składając liny, opatrując armaty a wyprzątnąwszy wreszcie wiszące po bokach tramu łodzie rozeszli się, tylko paru zostało na posterunkach przy sterze i na przedzie. Dla czego tak uprzątano i wiązano wszystko? zapytałem. Avremo mar un po alto, odpowiedział starszy majtek zwany nostromo.

Wkrótce też zaczął wiatr huczeć i jęczeć żałośnie, parowiec się rozkołysał, niebo się zasepiło, gwiazdy zgasły, tylko latarnie kolorowe nad kołami po bokach umieszczone i jedna wysoko u masztu jak wahadło zegaru bujająca oświecały pokład i pieniające się w około okrętu bałwany. Ten Scirocco to utrapieniec dla marynarzy, rzekł do mnie nostromo.

Utrudzony bardzo zeszedłem znowu na dół i pomimo silne miotanie się statku i szum wody sen mnie wiotkimi skrzydły uniósł w inny świat spokojny i cichy. Przebudziłem się nagle silnie podrzucony w moim kątku; spojrzałem dokoła, towarzysze moi siedzieli skuleni a tak blade i nudne mieli twarze, jakby zanadto użyli mdłych słodocy, od których niektórzy jeszcze sobie usta ocierali a biedne żydzisko jakieś siedziało na ziemi, wyrzekając jak w dzień sądny. Usłyszałem przerażające trzeszczenie ścian okrętu, brzęk niby tłuczonego szkła, chlustanie wody z boków i z góry; składane krzeselka posuwały się po posadzce, jakby namagnetyzowane, lecz nadewszystko nieznośniejsze było powolne wznoszenie się a nagle opadanie okrętu.

Odurzony jeszcze snem i tém wszystkim, co widziałem i słyszałem, zabrałem się do wyjścia, lecz nogi nie statkowały, musiałem się mocno trzymać ławy a potem poręczy wschodów. W chwili, kiedy otworzyłem drzwiczki na pokład, zwała się, acz była poprzednio przywiązana, wielka skrzynia i uderzyła z hukiem w miedzią okuty, wysoki próg, który co tylko miałem przekroczyć. Rozbiła się a w mgnieniu oka rozślizgnęło się na wszystkie strony mnóstwo żywych węgorzy. Wszyscy majtkowie zataczający się jak pijani rzucili się chwytając uciekające otworami pobrażnemi do morza. Wychwyтали, co było można, ale niejeden przepadł. Uskromniwszy się z osobliwym połowem ryb na pokładzie wodą zalanym, opatrzyli raz jeszcze wszystkie ruchomości.

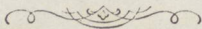
Cóż się to dzieje? zapytałem jednego z majtków. — Ha! Scirocco się spotkał z Borą i tak oto morze wzburzyli. — Już był dzień, ale posepny. Spojrzałem na zegarek, ósma godzina! Powinniśmy już byli stanąć w tryesteńskim porcie, rzekłem do kapitana stojącego przy sterniku. — Upłynie godzin kilka nim Tryest zobaczymy, odpowiedział z uśmiechem.

Usiadłem sobie w dobrym kąciku na armacie a nasunąwszy kaptur burki na głowę i założywszy ręce za linę, którą była przywiązana armata, oczekiwałem cierpliwie końca téj zajmującej ale nieprzyjemnej przeprawy. Tymczasem godzina upływała za godziną straszliwie powoli a bałwany wydymając grzbiety w kłęby coraz wyższe i znów je prostując podrzucały statek w górę i spuszczały na dół, jak rozbujaną huśtawkę, nadto zaś ustawicznie tłukły w jego boki aż się trząsał i tryskały pianą jak deszcz moczającą; od czasu do czasu chlusał bałwan potężny na pokład, woda płynęła strumieniami do obrzeżnych otworów a wietrzyska wyły straszliwy duet przy hucznym wtórze wzburzonego morza i potężnem chlastaniu kół okrętu, na masztach zaś i linach świstał cały rój niewidzialnych demonów napowietrznych w stogłosy.

Oswoiłem się prędko z przerażającym lecz niewypowiedzianie wspaniałym rozhukaną fali widokiem i grzmiącą burzy morskiej muzyką. Drżało mi z początku serce, zaprawdę nie z trwogi, ale z nieznośnego niepokoju ciała, silnego wstrząsania nerwów i przemoczenia do niteczki.

Minęło południe a burza nie spokoila się wcale. Maszyna pracowała z niezmiernem napięciem, podwojoną i potrojoną

parta siłą pary; daremnie chciano zwalczyć potęgę rozpasa-
nej wody; płynęliśmy tak wolno, na wszystkie strony rzucani,
że zamiast najpóźniej o ósmej rano, dopiero około czwartej
z południa ujrzeliśmy Tryest a około piątej stanęliśmy szczę-
śliwie w jego obszernej ale niespokojnej przystani.



kłynie w jego obszarach nie niespokojnej przyszłości
 z polubienią nieszczęśliwą i w ostateczności stanowiącej
 to samą przyczynę o której mowa, dopiero wtedy okazałoby
 się wady; i dlatego tak wolno, na wszystkich stronach, kłynie
 kłynie, kłynie; i dlatego chciano walczyć podług rozkazu-



(caloric 1500,-)

BIBLIOTEKA UNIERSYTECKA
W POZNANIU



1793 731-
1793 742

N2B